

# KAMENIA

LUBLIN

31.X.1963

Nr 20 (282)

ROK XXX

CENA 2 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

LUBLIN - BIAŁYSTOK - KIELCE - RZESZÓW

## CZTERDZIEŚCI SZEŚĆ LAT

WALDEMAR BABINICZ

CZAS z każdym rokiem oddala nas od dnia wybuchu Wielkiej Rewolucji, ale idee Października są coraz bliższe, coraz silniej wiążą olbrzymie masy zamieszkałe na naszym globie. Kraj Rad po wielokroć udowodnił, iż z każdej walki zbrojnej, ekonomicznej, ideologicznej — z reulty wychodzi zwycięsko. Wojna narzucona Związkom Radzieckim przez Rzeszę Niemiecką i jej jawnych i cichych sprzymierzeńców skończyła się nie tylko klęską potężnej, świetnie uzbrojonej armii, upadkiem ekonomicznym kraju, którego zaplecze gospodarcze stanowiły śpichrze niemal całej podbitej Europy, ale i klęską strategów i taktyków hitlerowskich i hindenburgowskich, sromotną porażką „ideologii” nazistowskiej, rozkładem moralnym całego obozu, który wspierał narodowych „socjalistów”. I chociaż dziś rządy wielu krajów i różne stronnictwa mniej lub więcej demokratyczne usiłują zapewnić świat, iż ideologia nazistów była im obca, że zawsze odżegnywali się od niej, to jednak jedynie ZSRR, jedynie KPZR z żelazną konsekwencją piętnuje i demaskuje wszystkich pogrobowców narodowego „socjalizmu”, wszystkich jawnych i zakamuflowanych popleczników i współpracowników Hitlera.

Im więcej sukcesy polityki Kraju Rad cieszą proletariatus świata, tym większy niepokój ogarnia jego wrogów, tym częściej uciekają się oni do szantażu politycznego.

Lenin precyzując ongiś na łamach „Rabocziej” (8.IX.1917) pojęcie szantażu politycznego, przytoczył fragment wiersza N. A. Niekrasowa „Szczęśliwy, łagodny poeta”:

A my słyszymy dźwięk uznania  
Nie w słodkim grzechotaniu pochwał  
Lecz w dzikim krzyku zlorzeczenia  
I tuż zaraz wyjaśnia:

„Dzikie krzyki zlorzeczenia przeciw bolszewizmowi rozlegają się niemal natychmiast po rozpoczęciu się rewolucji rosyjskiej... I bolszewik, internacjonalista, zwolennik rewolucji proletariackiej słusznie w tych dzikich krzykach zlorzeczenia może „słyszeć” dźwięk uznania, gdyż wściekła nienawiść burżuazji jest często najlepszym dowodem, że ten, kogo obrzucają oszczerstwami, kogo szcują i prześladowają, służy w sposób uczciwy i słuszny proletariatusowi”.

Oto są przyczyny szczególnego zdemerowania panującego w pewnych kółkach po zawarciu Układu Moskiewskiego, oto przyczyny hysterii pewnych publicystów po udzielonym wywiadzie ministrów Gromyki i Ruska, w którym obaj mężowie stanu zapowiadają dalsze prace w kierunku złażenia napięcia międzynarodowego.

(Dokończenie na str. 2)



W. I. Lenin wychodzi z gmachu Państwowego Instytutu Pedagogiki, gdzie był obecny na posiedzeniu Wszechrosyjskiego Zjazdu Oświatowego (28 sierpnia 1918 r.).

## Z LUDU WYROSLA

LESZEK SIEMION

CHYBA to historia narodu ukształtowała taki stan rzeczy, że do munduru wojskowego Polacy mają sentyment, dla armii — wysoki szacunek, zaś bojowe zalety Polaków zakwalifikowały nas w światowej opinii do najlepszych żołnierzy. Ale mimo ugruntowanych w tej dziedzinie tradycji, po raz pierwszy naród polski posiada siłę zbrojną wyrosłą całkowicie z łona ludu, opartą o historyczne doświadczenia walk ludowych mas, dla których zawsze wielką była sprawa Wolności, a celem walki nigdy nie był zabór.

Najściślejszy związek dzisiejszego Wojska Polskiego z ludem charakteryzują trzy elementy kształtujące jego ideowo-polityczną postawę: patriotyzm, rewolucyjność i solidarność z masami

pracującego ludu na całym świecie. Te trzy elementy odnajdujemy ustawicznie w wychowywaniu polskiego żołnierza, co wyraża się we wpajanych mu tradycjach bojowych i doborze poczty narodowych bohaterów, na których wzorze kształtowana jest żołnierska postawa. Zeby się o tym przekonać, dość zrobić krótki przegląd postaci historycznych, które patronują dziś różnym jednostkom Wojska Polskiego.

Generał Karol Świerczewski — warszawski robotnik, uczestnik Wielkiej Rewolucji Październikowej, sławny dowódca brygad międzynarodowych w hiszpańskiej wojnie domowej i frontowej dowódca II Armii w jej pochodzie na Drezno. Ucieleśnienie hasła, które polscy żołnierze wielokroć w historii z dumą nosili na swych sztandarach: „za wolność naszą i waszą”. Jest

dziś patronem Akademii Sztabu Generalnego, uczelni kształcącej wyższych oficerów polskiej armii.

Feliks Dzierżyński patronuje Wojskowej Akademii Politycznej. Nieugięty bojownik rewolucji, bezwzględny wobec wrogów i samego siebie, troskliwy wobec słabych i biednych. Przepiękny typ wojskowego pracownika politycznego, walczącego o sprawę mas proletariackich.

Nazwisko Tadeusza Kościuszki wypisane jest na sztandarze 1 Dywizji Piechoty, tej samej, która 12 października 1943 roku rozpoczęła bojowy marsz „najkrótszą drogą” do Warszawy, aby w kilkanaście miesięcy później faktycznie wziąć udział w walkach o wyzwolenie Stolicy. Kościuszko był przywódcą ludowym, który w roku 1794 podjął myśl poruszenia mas do obrony Ojczyzny, przez podniesienie ich do godności pełnoprawnych obywateli, a wcześniej jeszcze walczył o te ideały w dalekiej Ameryce Północnej.

Jarosław Dąbrowski — działacz rewolucyjny w szeregach carskiej armii, jeden z organizatorów Powstania Styczniowego, następnie wódz naczelny paryskich Komunardów, wśród których poległ w maju 1871 roku. Współcześni nazywali go „żołnierzem poświęconym wolności”, o którą walczył w różnych krajach Europy. Dziś nazwisko jego nosi Wojskowa Akademia Techniczna.

Józef Bem, Jakub Jasiński, Jan Henryk Dąbrowski, hetman Stefan Czarniecki, Romuald Traugutt, Jan Kiliński, Bartosz Głowacki, Marian Buczek, Jan Krasicki, Franciszek Zubrzycki — oto dalsza lista bohaterów patronujących dziś różnym jednostkom Wojska Polskiego i całej armii. Każdy z nich uosabia walkę o wolność ludu, z którym ich działalność najściślej jest związana. Oni to są dzisiaj wzorcami żołnierzy polskich sił zbrojnych, określając ich ideowo-polityczną postawę.

W oparciu o swą polityczną platformę Wojsko Polskie zespoliło różne nurty, jakimi toczyła się wojna narodo-wyzwoleńcza narodu polskiego w latach 1939—1945. A więc kampania wrześniowa 1939 roku, a więc partyzantka w okupowanej Polsce, a więc walki I Armii Wojska Polskiego na terenach ZSRR i walki Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, i bojowe szlaki I i II Armii zakończone w Berlinie i pod Pragę czeską, do tego zaś jeszcze — walki Polaków w obronie hiszpańskiej republiki. Niekiedy nurty te spletały się, co jeszcze bardziej uprzytamnia nam dzisiaj, jakie były w ciągu ostatnich 25 lat dążenia mas narodu.

Zeby się o tym przekonać, nie potrzeba nawet wykraczać poza teren samej choćby Lubelszczyzny. We wrześniu 1939 roku z tych terenów 100.000 ludzi stanęło do obrony kraju, powołanych do 3, 9, 13, 27 dywizji piechoty, 39 dywizji rezerwowej, Wołyńskiej Brygady Kawalerii, 10 brygad zmotoryzowanej płk Maczka i wielu innych formacji. Ofiarnie bił się żołnierz tych jednostek w Borach Tucholskich, pod Częstochową, Ilżą, na Podhalu, pod Krasnymstawem, Krasnobrodem i Kockiem, w Puszczy Kampinoskiej i obronie Warszawy. Zdobywali wówczas bojowe doświadczenie i pierwsze rany późniejsi dowódcy partyzantki, jak artylerzysta spod Kocka Janusz Zarzyca-

(Dokończenie na str. 10)



# Młoda, popularna

Od kierownika resortu kultury Brzeskiego rejonu Białoruskiej SRR, N. Szewczuka, otrzymaliśmy artykuł o brzeskiej filharmonii, który poniżej zamieszczamy.

**N**IEUSTANNY wzrost liczby zespołów twórczości amatorskiej i coraz lepszy poziom wykonawczy spowodował konieczność powołania do życia społecznej organizacji, która by na nowej, twórczej podstawie kierowała sztuką amatorską i na co dzień popularyzowała jej osiągnięcia.

Taką organizacją powstała na społecznych pierwszostkach stała się Obwodowa Filharmonia Narodowa. W jej skład weszły najlepsze zespoły, te które osiągnęły wysoki poziom wykonawczy i systematycznie występują przed publicznością. W chwili obecnej Filharmonia skupia 15 zespołów i 35 solistów. 20 zespołów kandydackich walczy o prawo członkostwa. Filharmonia kieruje Zarząd i Rada Artystyczna, której członkami są najbardziej doświadczeni kierownicy zespołów, profesory i wykładowcy Szkoły Muzycznej, pracownicy kultury.

Zarządem, na zasadzie działalności społecznej, kieruje prezes — kierownik Katedry Muzyki Instytutu Pedagogicznego w Brześciu, dyrygent znanego chóru przy Klubie Kolejarskim, N. I. Szoszczak.

Zespołom przyjętym do Filharmonii Narodowej wręcza się uroczysto odpowiednio dyplomy, a solistom nadaje się tytuł artysty Filharmonii Narodowej.

Filharmonia ta przejawia działalność koncertową swoich zespołów nie tylko w obrębie okręgu brzeskiego. Takie zespoły, jak: chór brzeskiego Klubu Kolejarskiego, Brzeski Młodzieżowy Zespół Tańca, zespół taneczny z Baranowicz, chór Pińskiego Domu Kultury „Poleska pieśń” — znane są i cenione daleko poza granicami okręgu. Wszystkie te zespoły koncertowały w Mińsku, Moskwie i innych miastach Związku Radzieckiego.

Za osiągnięte mistrzostwo zespołom tym Ministerstwo Kultury Białoruskiej Republiki przyznało zaszczytną nazwę — Narodowych.

Filharmonia Narodowa bierze aktywny udział w organizowaniu wszelkiego rodzaju masowych imprez kulturalnych, czuwa nad wymianą zespołów między sąsiadującymi ze sobą okręgami, prowadzi dla młodzieży wieczory muzyki, koordynuje prace lektorów muzycznych, służy metodyczną pomocą zespołom, zachęca wszystkich do twórczej pracy w zespołach ochotniczych.

W czasie Świąta Przyjaźni bratnich narodów białoruskiego i ukraińskiego, wspomniane zespoły przeprowadziły

wymienne koncerty w Brześciu i Lucyku.

W czerwcu bieżącego roku Filharmonia zorganizowała w Brześciu święto kultury i sztuki pod nazwą „Brzeska wiosna”. W ciągu ośmiu dni od 26 maja do 2 czerwca na placach, skwerach i w parku występowały zespoły artystyczne amatorów. Zostały zorganizowane spotkania ludności z artystami, kompozytorami, pisarzami, poetami, twórcami filmowymi. W tym święcie-festynie brało udział ponad 2 tysiące artystów-amatorów, artyści białoruskiego radia, Wielkiego Białoruskiego Teatru, Opery i Baletu, Państwowej Filharmonii, zasłużeni twórcy-kompozytorzy: J. Sieniński, Wagner, narodowi artyści Białoruskiej Republiki i inni działacze kultury i sztuki.

Podobne święta obchodzone w Baranowiczach i Pińsku, spotkały się one z dużym uznaniem wśród społeczeństwa.

W roku bieżącym Filharmonia zorganizowała tournée artystyczne Narodowego Chóru Klubu Kolejarskiego w bratniej Republice Litewskiej. Występy te były jeszcze jednym z licznych sukcesów wspomnianego zespołu.

Z dużym poczuciem odpowiedzialności przygotowuje się do koncertów w Lublinie Brzeski Zespół Tańca. Zespół ten powstał wiosną ubiegłego roku, w jego skład wchodzi młodzież, robotnicy fabryki dywanów, fabryki krawieckiej, studenci, młodzież szkolna. Mimo krótkiego czasu istnienia zespół zdobył już dużą popularność.

Choreografem zespołu jest młody, uzdolniony baletmistrz Michał Pużanow. W koncercie wezmą udział również soliści Narodowej Filharmonii, profesory: I. Drygajłowski, R. Sokolowska, N. Żelobkiewicz, inżynier A. Malicki i inni.

Filharmonia organizuje również specjalne lekcje-koncerty w parkach kultury oraz salach kinowych. W centralnym kinoteatrze „Mir” w każdy piątek przed wyświetlaniem filmów odbywają się koncerty uczniów szkoły muzycznej, poprzedzone pogadanką lektora. Te muzyczne lektoria cieszą się olbrzymią popularnością. W tych dniach sala zawsze jest zapełniona publicznością bardziej niż zazwyczaj.

Filharmonia Narodowa rozporządza swoim własnym funduszem, który składa się z dochodów z odpłatnych koncertów. Połowę całej swojej działalności Filharmonia prowadzi bezpłatnie. Również wszyscy pracownicy Filharmonii pracują bez wynagrodzenia, na zasadzie społecznej.

Ta młoda organizacja zdobywa sobie coraz większe uznanie i popularność wśród społeczeństwa.

N. Szewczuk

## CZTERDZIEŚCI SZEŚĆ LAT

(Dokończenie ze str. 1)

W czterdziestym szóstym roku istnienia Państwa Rad, świat przekonał się niezbicie, kto w rzeczywistości pragnie pokoju, kto, poprzez swą dalekowszostną politykę, ostrzegł ludzkość od zagłady, kto najszybciej i najofiarniej broni interesów międzynarodowego proletariatu.

Sukcesy polityki ZSRR cieszą przede wszystkim jego najbliższych sojuszników i przyjaciół. Rząd PRL popiera stale na forum międzynarodowym wszystkie twórcze koncepcje ZSRR niosące złagodzenie napięcia międzynarodowego poprzez koegzystencję na polu gospodarczym, handlowym, naukowym i kulturalnym. Poczynania naszego rządu wyrażają wolę całego narodu, a deklaracje składane na ten temat we wszystkich środowiskach naszego kraju nie są głośliwe. Nie tylko członkowie kół TPPR, rozsiadani po całym kraju, poszczycić się mogą coraz lepszą znajomością historii Kraju Rad, jego aktualnymi sukcesami na wszystkich odcinkach życia politycznego i kulturalnego. O sukcesach tych mówią coraz częściej proci ludzie w fabrykach, w PGR, w spółdzielniach i w kółkach rolniczych, mówią coraz goręcej z coraz większym uznaniem i szacunkiem chłopcy skupieni przy głośnikach, młodzież w klubach, w rozmowach prywatnych. — Z podziwem opuszczam wasz kraj — mówi dziennikarz fran-

cuski — gdzie każdy człowiek wie więcej o polityce zagranicznej swego kraju, o udziale jego ojczyzny w RWPG niż nasi dziennikarze mieszkający z dala od metropolii.

A przecież upolitycznienie naszego narodu, jego coraz większy stopień zaangażowania się we wszystkie dziedziny życia społecznego jest wynikiem spuścizny ideologicznej Wielkiego Października.

Ta postawa narodu, jego współudział w konsolidowaniu się naszego Frontu Jedności zobowiązuje do większych jeszcze wysiłków naszą inteligencję twórczą, naszą inteligencję w ogóle.

Petryfikacja pewnych treści i form życia kulturalnego, jaką dostrzegamy w niektórych środowiskach, opowiadanie się za żywiołowością w życiu i nieingerencją, domaganie się środków finansowych i życzliwej obserwacji ze strony państwa, wiara w samoczynne działanie środków komunikacji masowej — wszystko to są nieporozumienia wynikające z niedostatecznego doceniania roli czynnika regulującego nasze życie kulturalne.

Zywiołowa reakcja opinii publicznej na Układ Moskiewski i inne sukcesy polityki radzieckiej wskazują, jak bardzo właśnie w podobnych sytuacjach potrzebna jest ingerencja czynnika regulującego. Dyskusja w senacie amerykańskim, wypowiedzi rzecznika bońskiego wywoływały niepokój, noty zaś rządu chińskiego — zdziwienie i zaskoczenie, które mogłyby obniżyć wartość Układu, gdyby nie rozsądny komentarz, wyjaśnienie, obiektywna ocena wysiłków KPZR i rządu radzieckiego. Uwypuklenie rozdziewików natury ideologicznej nawet w okresie szczytowych osiągnięć na polu koegzystencji jest obowiązkiem każdego świadomego obywatela, sto-

Trzeci, z kolei, tegoroczny „Dni Rzeszowa”, z przyczyn od organizatorów niezależnych, nie odbyły się w tradycyjnym czasie, wiosną. Zapewne brak wiosennej scenarii i owych luźniejszych dni, poprzedzających już wakacje i czas masowych urlopów, spowodował, iż obchodzone tym razem od 15 do 22 września dr. „Dni”, zorganizowane przez specjalny komitet pod kierownictwem Wydziału Kultury Prezydium MRN, miały nieco inny, mniej odświętny, bardziej zbliżony do powszedniości charakter.

Nie było żaknady, nie zauważyłam barwnych przebierańców przemierzających ulice miasta, ba, nawet i dekoracje znacznie były oszczędniejsze. Starano się jakoś barwnymi skrawkami tekstyliów rozwieszonymi „w artystycznym nieładzie” nad ulicą Grunwaldzką uczynić miłą perspektywę rozkopanej arterii wybiegającej w kierunku dworcowego placu, gdzie również trzeba by mnóstwo wysiłku włożyć, by przed okiem turysty i okolicznościowego gościa ukryć wielką gorączkę i budowlane zamieszanie, towarzyszące pośpiesznemu porządkowaniu tej części miasta, przygotowaniu urządzeń i pomieszczeń dworca PKP w Rzeszowie do przyjęcia pierwszego pociągu elektrycznego zelektryfikowanej magistrali Kraków — Rzeszów.

Jeśli dodać, że na skutek zmienionego terminu nie mogły dojść do skutku tak oczekiwane przez rzeszowskie społeczeństwo Dni Teatralne Polki Południowej, czy Ogólnopolskie Dni Muzyki Kameralnej, to atrakcji należało raczej szukać w imprezach innego charakteru, bardziej integralnie związanych z miastem i regionem. Nie oznacza to oczywiście, iż zrezygnowano z reprezentacyjnych imprez artystycznych. Rolę ich z powodzeniem spełniła premiera „Fizyków” Dürrenmatta w Teatrze im. Wandy Siemaszkowej w reżyserii dyrektora Stefana Wintera. Państwowy Zespół Pieśni i Tańca „Mazowsze”, który uprzednio występem swym uświetnił 25-letni jubileusz Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego w Mielcu, kilkakrotnie wystąpił dla wieloletnich rzeszowskich mieszkańców Rzeszowa i rozlicznych wycieczek z całego województwa. Nie miejsce tu, a i pora nieco spóźniona, by rozliczyć te estradowo-koncertowe zamieszanie, które z najrozmaitszych powodów nie doszły do skutku.

Każdy dzień miał określony charakter: był dzień tradycji rewolucyjnych, dzień nauki, dzień książki, dzień kultury, techniki, sportu, ZMS-owca, a nawet dzień handlu i usług (o tym ostatnim mówiono tu nie bez uszczypliwości, że bodaj przez dwanaście godzin miejscowy handel, wraz z gastronomią zwłaszcza, stanie na wysokości zadania).

Sesja Miejskiego Komitetu Frontu Jedności Narodu i Miejskiej Rady Narodowej, zorganizowana w dniu tradycji rewolucyjnych, poświęcona była 20 rocznicy Wojska Polskiego oraz tradycjom tego Wojska na Rzeszowszczyźnie. Problematyka współczesna, aktualne zagadnienia, które wchodziły na naukowe warsztaty badawcze, były tematem konferencji i narad objętych programem dnia nauki czy też dnia techniki.

Działacze nauki, kultury i sztuki, członkowie regionalnych towarzystw naukowych, przedstawiciele instytucji kulturalnych wzięli udział w naradzie,

jącego na straży ideowej spuścizny Wielkiej Rewolucji Socjalistycznej, której rezultatem jest m. in. nasza rodzima, bogata i pogłębiająca się wciąż kultura narodu.

Liczne fakty wskazują, iż w ciągu czterdziestu sześciu lat wychował się w ZSRR typ świadomego obywatela, mającego w pełni poczucie odpowiedzialności, umiającego analizować zaletność własnego dobra od dobra kolektywu i narodu, doceniającego wpływ przekonania na postawę moralną jednostki. System radziecki wykazał, iż postęp techniczny, olbrzymie osiągnięcia w dziedzinie nauk ścisłych nie tylko nie wpływają na dehumanizację społeczeństwa, ale przeciwnie, przyczyniają się do rozwoju nauk humanistycznych, do harmonijnego oddziaływania na morale człowieka wszystkich dyscyplin naukowych. „Obywatel radziecki” — mówi L. Beard, którego nie można posądzać o sympatie do komunizmu — „to człowiek pracowity, mający silnie rozwinięte poczucie honoru, wrażliwy, subtelny, gorący patriotą, zdolny do najdalej idących poświęceń, gotowy w każdej chwili bronić nie tylko swojej ziemi, ale i idei, która uczyniła jego zacofaną ogłą ojczyznę największą potęgą świata, to wreszcie obywatel, który w równym stopniu lubi uczyć się,

# W RZESZOWIE „DNI” Z CHARAKTEREM

CECYLIA BŁONSKA

zorganizowanej przez Muzeum Ochrony i Wydział Kultury Prezydium MRN, gdzie debatowano nad wdrażaniem planem przygotowanym do obchodów 20-lecia PRL w Rzeszowie. W obchodach nie było konfrontacji z jej dziejmi: w okresie międzywojennym miasto, powiatowy Rzeszów posiadał 12 szkół, dzisiaj do obchodów 20-lecia przygotowuje swój wkład mniejszy niż większy kilkadziesiąt szkół, ponad 70 placówek, instytucji i organizacji kulturalnego frontu. Prawiecznym, by nie powiedzieć, konfrontacjom poświęcono również w dniu nauki, odmiennie wojewódzkiego konserwatora zabytków archeologicznych mgr Kazimierza Moskwy pt. „Rzeszów przedhistoryczny na podstawie badań archeologicznych”.

Jeśli w latach poprzednich zdecydowana większość imprez zamknięta była w kręgu tematyki humanistycznej, aktualnie, bez uszczerbku dla dyscypliny tej dziedziny, sprawy techniki, związanej już bezpośrednio z potrzebami rzeszowskiego przemysłu, po części i rolnictwa, zostały szeroko potraktowane. Niektórzy wręcz twierdzili, iż program dnia techniki wymagał sił i siłków bardziej może wyjątkowych, niż spartakiada i inne oficjalne imprezy w dniu sportu.

Osobiście nie podzielam tego zdania a prace i referaty na temat bazy surowcowej przemysłu spożywczego w województwie rzeszowskim i jej wykorzystania, jakich miałam okazję wysłuchać na naradzie technicznej Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Przemysłu Spożywczego, którzy obchodzili równocześnie 10-lecie istnienia (ach, co za spietnienie okazji jubileuszowych!), dostarczyły wiele cennego materiału. Ze wspomnę prace zbiorową na temat postępu technicznego w przemyśle spożywczym województwa rzeszowskiego, decydującego o prawidłowym rozwoju takich wielkich nowych zakładów, jak wyposażona w najnowsze urządzenia zdalnie sterowane „Alima” w Rzeszowie, czy „Paktowin” w Jaśle, który oprócz rozmaitych wyrobów owocowych i win zamierza na kolejne „Dni” przesłać do Rzeszowa pierwszy koniak własnej produkcji.

Z debaty nad surowcową bazą dziedzinie techniki przerosł nas kolejno na wystawie ciętych kwiatów w klubie NOT, połączona z prelekcją „O zieleni w miastach”. Wiele znowu fachowcy urbanistyczni mieli możliwość wymienić swój pogląd na sprawy urządzania zieleni i pluc w zadymlonych miastach. Laicy natomiast nie mogli oderwać oczu od przepięknych storczyków, egzotycznych orchidei i innej roślinności z dalekiego świata eksponowanej przez szeroko znane Zakłady Ogrodnicze PGR w Łańcucie, czy też swoich, prawdziwie już polskich.

(Dokończenie na str. 5)

czytać, co i bawić, ochocho, bestrako”.

Oto wizerunek człowieka radzieckiego naszkicowany przez Amerykanina, który kończy swój wywód melancholijnym westchnieniem: „Wiele lat musimy czekać, aby wychował się w naszym kraju osobnik reprezentujący te same lub podobne wartości”.

Nikt nie przeczy, że USA latami rozporządzają olbrzymimi środkami, ale w USA nie rządzą klasa robotnicza, nie do niej należą środki wyprodukowane, nie ona decyduje o podziale dóbr.

Z uzasadnioną dumą, bardziej niż kiedykolwiek legitymuje się dzieł obywatel radziecki swoim paszportem:

„Patrząc, zazdrościcie, jam obywatel [Republiki Rad]”.

W dziejach naszego narodu listopad uchodził za tragiczny i „niebezpieczny” miesiąc. Rok 1917 położył kres legendzie. Od 19 lat na idei Leninizmu kształtuje się nasza nowa rzeczywistość, tym głębsza i nieodwołalna, że oparta o konsekwentnie realizowane Uchwały XX i XXII Zjazdu KPZR.

Waldemar Babini



## Głowa Venus

(Louvre)

Nie bardziej umownego niżli piękno.  
W każdym tomisku, gdzie historia sztuki  
Przeczytasz, że prawdziwa doskonałość  
Mieści się w głowie Venus, bo jej miary,  
Wysokość czoła i długość jej nosa  
Są równe, a od nosa do podbródka  
Nie dalej niżli od nosa do czoła,  
Włączano nam od dawna tak i owak,  
Ze całe piękno w proporcjach.

I oto

Nabożnie zbliżam się do stóp bogini  
I aż zamieram w kornej kontemplacji.  
A więc to ona. Ona! Venus z Milo,  
Najdoskonalsze piękna objawienie,  
Zrodzone niegdyś z piany oceanu!  
Tak!... Wszystko takie, jak mówiono: czoło  
Tęgoż rozmiaru co i nos bogini,  
I linia do podbródka... Wszystko prawda!  
Choć z tego względu nos trochę przyełęzki,  
Zwłaszcza jak na kobietę, lecz ja nie śmiem  
Nawet pomyśleć o tym. Oto Venus!  
Lecz, używając nadal okomierza  
Nagle spostrzegam pewien drobny szczegół:  
Wargi bogini zamknięte, lecz zęby,  
Czuje, są rozchylone pod wargami,  
Nawyk tych, co ustami oddychają,  
Nie chciałbym przecież pogłębiać problemu,  
I twierdzić, że bogini starożytna  
Miała spuchnięte migdały — a jednak...  
Jej troszkę jakby tępy wyraz twarzy  
Dziś medycyna skłonna by przypisać  
Niedotlenieniu mózgowych komórek.  
Lecz zęby, ledwo, ledwo rozchylone...  
Zaciśnij je choćby na chwilę, Venus —  
A wszystkie miar stosunki i proporcje,  
Cała klasycyzacja — to po prostu — katar.  
Więc w czym jest doskonałość ideału?  
Czyżby w migdałkach?

Stokrotnie przepraszam...

Jakiż to straszny nietakt z mojej strony!  
Wyśmieją mnie na wieki pensjonarki,  
Rozszarpia profesory estetyki!  
Lecz prawda bywa nietaktowna. Amen!

Puszczać tu barbarzyńców przed boginią!

Przełożyła Anna Kamińska

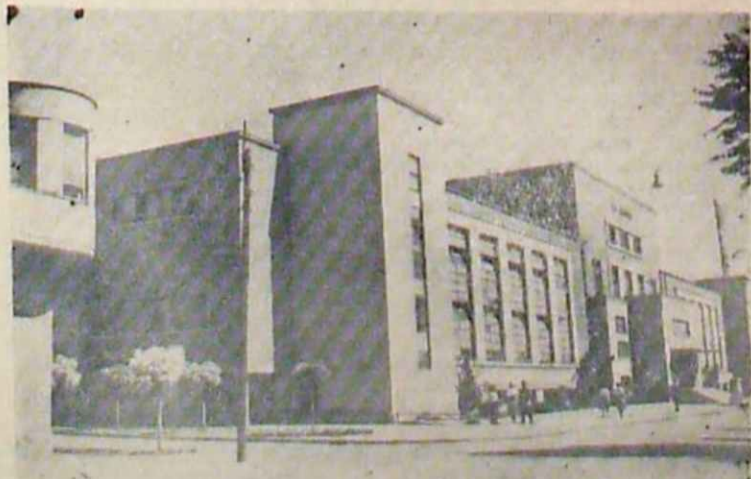
## LINA KOSTENKO

\* \* \* \* \*

Słońce wzeszło  
tak jak przed wiekami...  
Aż do ziemi  
zgięta przez wiatr z pola  
wierzba klękała na omszały kamień  
zdarłszy korę z chropowatych kolan.

Są wiersze — kwiaty.  
Wiersze — dęby.  
Igraszki — wiersze.  
Wiersze — rany.  
Wiersze — władcy, wiersze —  
[niewolnicy].  
I są wiersze  
zakute w kajdany.

Nie uciehną w murach więzień,  
W klęsk zamieci.  
Idą, idą —  
etapami stuleci.

Z UKRAIŃSKIEGO PRZEŁOŻYL  
JERZY PLESNIAROWCZWystępy  
Państwowego Teatru im. J. Osterwy  
w Jugosławii

Serbski Teatr Narodowy w Nowym Sadzie, w którym odbywały się gościnne występy Teatru im. J. Osterwy. W następnych numerach „Kamery” ukażą się felietony Marii Bechczyc - Rudnickiej o pobycie lubelskiego teatru w Jugosławii.

## Kraj Delfinia

## Strażak

Fala za falą płynie...  
Błękitna.  
Zielona.  
Nie, błękitna.  
Jak kameleonów miliony  
Mieni się od wichury.

Lagodnie kwitnie  
Glicynia.  
Jaka subtelna jej linia...  
A gdzie jest kraj  
Delfinia  
I miasto tam:  
Kangurów.

To gdzieś daleko  
Za morzem!  
Pojadę też tam  
Może...  
Ach, Boże, mój ty Boże! —  
Jak to tam będzie beze mnie!

Palmy bez mnie  
Zmarnieją,  
Róże beze mnie  
Zezernieją,  
Ptaki beze mnie  
Schorzeją.  
Tak to tam będzie beze mnie!

Tak, lecz beze mnie  
Któryż to  
Raz  
Odpływał okręt „Kierowy As”!

Taka już jestem pechowa!  
W pamięci to zachowam.  
A wczoraj sen się

ziścił,

ziścił

I przyszedł do mnie

liścik,

liścik

Ze stemplem mej Delfinii  
Z pieczęcią Kanguruwa.

Białe pocztowe koperty  
Rwą się jak magnolii  
Pęki,  
A pachną jak jaśminy.  
Lecz cóż to piszą znajomi?!  
Czytać ten list mi nieprzyjemnie;  
Palmy beze mnie nie marnieją,  
Róże beze mnie  
Nie czernieją,  
Ptaki beze mnie  
Nie chorzeją...  
Jakże to tak beze mnie?!

Fala za falą płynie...  
Błękitna.  
Zielona.  
Nie, błękitna.  
Napływają lzy gorzkie i słone, —  
Odpędzam myśl ponurą.

Lagodnie kwitnie  
Glicynia.  
Jakaż subtelna jej linia...  
A gdzie jest kraj  
Delfinia  
I miasto tam Kangurów.

PRZEŁOŻYL K. A. JAWORSKI

EUGENIUSZ  
WINOKUROW

\* \* \*

Brzozy ścianą przy drodze wyrosły  
Smukłe, czyste i niespokojne.  
Zasadzili je ludzie na włosnę  
Z dobrej woli, z życzliwości znojej.  
Nie wiem nawet, co to za ludzie,  
Gdzie ich domy, gdzie strony ojezyste.  
— Niech ich życie nagrodzi po trudzie  
Niespokojne i smukłe i czyste

Z ROSYJSKIEGO PRZEŁOŻYL JERZY PLESNIAROWICZ

Zył kiedyś strażak, co miał kask brązowy  
I nosił fiołek w butonierce — dziwak.  
Marzył, że nocą krwawo purpurową  
Kogoś z płomieni i dymu wyrzywa.

Myśl w sobie lubą i okrutną tań,  
Ze ktoś upuścił zapalke... I oto...  
Ale nie było pożarów w tym kraju:  
Naród przezorny dbał tam zawsze o to.

Dzieckiem lubiłam skryta w drzewa cieniu  
Sledzić, jak człowiek chodził w krąg na  
wieży...

Nie żeby chciał on ognia i zniszczenia,  
Lecz tęsknił za czymś, gdy dal wzrokiem  
mierzył.

Na dróże sennej kurz się szary ścieleł  
I dzwon wieżowy nie dzwonił na alarm...  
A jednak wtedy się paliło wiele,  
Tylko nikt tego nie dostrzegł wcale.

## Okręcik

Zył okręcik wesoly i zwinny,  
Nad falami jak sokół szybował.  
Sam podobno skręcił swoje liny,  
Sam podobno też siebie zmaistrował.

Sam się smolą nasycił po zręby,  
Sam się odział w metale i dęby,  
Sam na morzu drogę sobie żłobił —  
Sam sobie locman, sam sobie bosman  
I kapitan sam sobie.

Płynął, płynął i szumiał żaglami  
I niczego się nie bał zuchwały,  
A wulkany siwymi brodami  
Patrząc nań poruszały.

Płynął sobie i kpił z morskich matni,  
Stroił miny królom ostatnim,  
Czy wszystkie kraje się kwieca,  
Czy wszystkie są na miejscu —  
Wszystko sobie notował  
I sprawdzał wszystko.

Siedemnaście razy na dobę  
Spotykały go inne okręty,  
Przystawały, plotkowały sobie  
I znów pruly morskie odmeły...

Płynął sobie i marzył okręcik,  
Rył na masztach znaki dla pamięci,  
Sam wyprowadzał wnioski, —  
Sam sobie locman,  
Sam sobie bosman  
I kapitan bestroski.

PRZEŁOŻYL K. A. JAWORSKI

## JAN KROSS

## W jakim języku

We wszystkich zakątkach ziemi  
zobaczysz poprzez płomień  
i bitumiczny dym  
spoczone twarze drogowych robotników.

W jakim języku  
przypatrują się robotnicy dali?

Pod drzewami wszystkich miast i wsi,  
gdy chwila wieczność przybliża,  
obejmując się milczą zakochani.

W jakim języku milczą?

We wszystkich zakątkach ziemi  
uśmiechają się do matek dzieci.

W jakim uśmiechają się języku?

Istnieją bowiem wszędzie —  
droga,  
miłość,  
dzień, który nadchodził.



## Czy istnieje poezja kobieca?

ANNA KAMIENSKA

**N**A to pytanie można odpowiedzieć jednym słowem, jak ów uczeń, który mając za temat wypracowania: „Co robiłem w niedzielę?” — napisał po prostu: „Nic”. Czy istnieje poezja kobieca? Nie. Tak samo, jak nie istnieje poezja męska. Jeśli w ogóle pojawiło się to pytanie, to dlatego, że niektórzy publicyści i krytycy z uporem powracają do „literatury kobiecej”, prozy, lub poezji „kobiecej”, jakby pleć była jakimś istotnym wyróżnikiem literackim, jakąś kategorią krytyczną. Jest to tylko jeden z tych nielojalnych chwytów, jakie wobec literatury stosują krytycy. Nie mogą się zdobyć na istotne, intelektualne uogólnienia i syntezy, które by mogły ukazywać utwory literackie jako przejawy szerszych tendencji, czy nurtów myślowych, chwytają się tego pierwszego z brzoza elementu łączącego. Utwory pisane przez kobiety — a więc jest coś, co je łączy. Ciekawe jednak, że nie pisze się o poezji męskiej ani o męskiej krytyce. A zresztą może krytyka to domena jakiejś trzeciej płci? Błyskawicznie umiejętność syntezy, krytyki z kolei wysła swój dowiec z gatunku kpiny z teściowej, a więc raczej mało odkrywczy, i tropi w utworach „kobiecych” cechy hysterii, egzaltacji, sentymentalizmu czy gadulstwa. Wdawać się w polemikę z tymi metodami znacząłoby to w jakiś sposób przyznawać im rację, kwalifikować je do rangi rzeczywistego problemu. Każdy obserwator twórczości literackiej potrafi stwierdzić, że cechy sentymentalizmu, egzaltacji czy rozgadania bardzo często występują w utworach pisanych właśnie przez mężczyzn, a kobiety nierzadko umieją się zdobyć na rzeczowość, lakoniczność i dystans do własnego tworzenia. Sentymentalizm, a nawet rozmarzenie, są udziałem wielu młodych poetów noszących brody, niewątpliwie oznaki męskości. A przecież to nie brody zawiniły, ale fałszywe poglądy estetyczne, uleganie złym tradycjom post-romantycznym i jakiejś zupełnie określonej postawy światopoglądowej.

Nie ma więc w literaturze poezji kobiecej i poezji męskiej. Istnieją natomiast pewne nurty i tendencje i właśnie krytyka mogłaby i powinna je widzieć i ukazywać. Czytelnicy znający historię literatury w jakichś szeregach myślowych zwanych np. klasycyzmem, romantyzmem, pozytywizmem interesują się, jak można by nazwać i określić kierunek obecnie panujący w literaturze, chcieliby nazwać to, czego są świadkami. Zainteresowanie to jest zrozumiałe i normalne. Nasza krytyka jednak nie umie dać na nie nawet przybliżonej odpowiedzi. Nie wiem, czy ktokolwiek zdołałby zaspokoić tę ciekawość. W oczach współczesności literatura rozpada się na poszczególne zjawiska, na odrębne indywidualności, nie widać wyraźnie nurtu wiążącego te odrębne zjawiska. Elementem wiążącym nie może być tu bowiem ani pleć (to już niemal humorystyka), ani, co ważniejsze, nawet styl. W ostatnim okresie, po roku 56 — tym będącym datą przelomu w naszej poezji, również datą wielu ważnych debiutów —

stylistyka poezji przechyliła się na stronę awangardy. Zwycięstwo! — zawołał Julian Przybos. Sam jednak przekonał się w miarę upływu czasu, że to zwycięstwo awangardy jest w wielu wypadkach iluzoryczne. To prawda, przywykliśmy, my, a może i nasi czytelnicy, do wiersza wolnego, bez rymu i piosenkowej, regularnej strofy, przywykliśmy do metaforyki i wyobraźni zastępującej dawne porównanie sygnalizowane z daleka słowem „jak”. Nudzi nas już trochę tradycyjny wiersz, w którym nie kryją się żadne niespodzianki, który kołysa i usypia samym swoim melodyjnym tokiem. Oczywiście, mowa tu o podobnych wierszach dziś pisanych, na tle stylistyki nowej, nie zaś o wierszach dawnych poetyckich mistrzów, wierszach powstających jakby w innej skali, w innym systemie artystycznym. Nawet poeci starszego pokolenia, kontynuujący poezję tradycyjną poprzez zasięg wpływu Skamandra — i ci poeci rozluźnili rygory wierszowe, nauczyli się nieco inaczej patrzeć, zarzucili w wielu wypadkach górny ton poezji i obowiązującą do dawniej poezji ornamentykę. Odmłodzili się, jak to miało miejsce ze Staffem, który jako stary poeta był młodszym, niż jako początkujący adept Młodej Polski przed pierwszą wojną światową. Zresztą nie jest to przecież wyłącznie kwestia stylu i kształtu wiersza, ale także nowego, świeżego spojrzenia, innej koncepcji słowa poetyckiego.

To prawda, zwyciężyła nowa stylistyka i koncepcja poezji uwolniona od wielu dawnych schematów. Nie znaczy to jednak, że nie powstały nowe schematy, nowe sztamperki poetyckie. Niestety, w wielu wierszach współczesnych, które się czyta, tylko zewnętrzny strój wiersza jest nowy. Spozna niego wygląda jakże często sztampa poetyckości i poetyzowania, post-romantyczny sentymentalizm i mdła nastrojowość.

Zwycięstwo awangardy jest bardzo pyrrusowe. Wielu poetów nauczył się „nowego” sposobu obrazowania i kojarzenia, poczuło się wolnymi również od obowiązku kontrolowanej myśli, od posiadania czegoś, co się pragnie zakomunikować innym poprzez wiersz. Poezja jest mową wiążącą czy też inną, przymiotnik nie jest istotny. Mowa zaś służy przekazywaniu myśli, komunikowaniu pewnych treści. Nie jeden wiersz wypowiedziany tonem spokojnie oznajmującym, jak czyta sam Julian Przybos, ginie lub staje się parodią poezji. Bardzo się obawiam, czy zwycięstwo moderny w sensie stylu nie stanie się zwycięstwem moderny w sensie młodopolskiego anty-racjonalizmu, zacięcia, zacięcia sensu poetyckiego. Ciekawe, jak wobec tego ochrzczą przyszli krytycy nasz okres literacki? Młoda Polska w stroju awangardy? Awangarda w płaszczu Młodej Polski?

A może jednak nie ten krzykliwy i narzucający się nurt post-moderny, ale poezja niepokoju moralnego i wielkiej próby osądu cywilizacji i kultury — da nazwę naszej literackiej epoce? Może ten bardziej stłumiony głos poezji wydobędzie się ponad rozwiewany tłum producentów „ciekawych” metafor, ponad koniunkturalne, a czasem śmieszne w swej bezradności syntezy i uogólnienia krytyków, jak np. pojęcie literatury kobiecej. Z czasem wychodzi zawsze na powierzchnię to właśnie, co literatura ma do powiedzenia, do oznajmienia swoim czasem, nawet jeśli to czyniła szeptem. Konwencje i style okazują się tylko modą i strojem, mimo że one właśnie współczesnych szokują i rzucają się w oczy.

### POGLĄDY I PRZEGLĄDY

## WIELKIE ZADANIE - WIELKI TEMAT

JERZY GEMBICKI

niem, który w okresie planu perspektywicznego wyniesie ok. 100 tys osób, szkolnictwo wyższe będzie miało za zadanie wykształcić ponad 600 tysięcy nowych absolwentów, z czego 200 tys. na studiach dla pracujących.

Podstawowym warunkiem sprawności praktycznej tych danych liczbowych będzie oczywiście rezultat działalności całego złożonego i skomplikowanego systemu szkolnictwa dla

## Dziewięć klasztorów, czy wiele szkół

STEFAN ŻÓLKIEWSKI

**W** ALKA z wpływami kultury religijnej na świadomość społeczną ma długą tradycję w literaturze polskiej. Jest to tradycja sporów o tolerancję przeciwko przesądom i fanatyzmowi. W naszym kraju jest to także tradycja krytyki zacofania cywilizacyjnego i obrony uciskanych. Z tego ducha narodził się niezapomniany pejzaż polski 2 „Monachomachii” Krasickiego.

...W mieście, ponieważ zbiór pustek  
[tak zwiem,  
w godnym siedlisku, i chłopa i Żyda;  
W mieście (gród, ziemstwo trzymało  
[albowiem  
Stare zamczysko, pustoty ohyda)  
Było trzy karczmy, bram cztery  
[ułomki.  
Klasztorów dziewięć i gdzieniędzie  
[domki.  
W tej zawołanej ziemiańskiej stolicy  
Wielebne głupstwo od wieków  
[siedziało!...]

Celnym ciosom myśli poety-biskupa towarzyszy śmiech i drwina. Bo Krasicki czuje się silny. Przemawiał w imieniu wielkiej kultury Oświecenia, do której należała przyszłość! Poeta rozumiał, jak bardzo górował nad „wielebnym głupstwem”. Potem ten ton, nawet w latach niedawnych, międzywojennych, znika z naszej literatury, atakującej przecież nie uczucia religijne, ale klerykalne treści wpływów kościelnych na umysł i obyczaj. Typowym przykładem tej literatury będą groźni i ciemni „Nasi okupanci” Boy'a Żeleńskiego. Nawet dla Brezy, autora „Spłżowej bramy” i „Urzedu” maszyna kościelna jest odpychająca, bo równie nieludzka jak niewzruszona i przytłaczająca. Otóż ten ton Krasickiego, ton pewności, zaufania do społecznego zasięgu i racji własnej postawy ideowej, ton zaufania do kultury przyszłości odnalazłem w nowej książce Waldemara Babinicza „Za ścianą”.

Jest to zbiór utworów o niedość określonej formie gatunkowej, ni to krótkie opowiadania, ni to gawędy, przypominające nasze, tak popularnych w swoim czasie, facecjonistów z końca XIX wieku, jak Bliźniński, Wilkoński, Lam. Byli oni przy tym i prekursorami reportażu, literatury faktów, konfliktów obyczajowych chwytnych na gorąco.

Babinicz nie ma nic z poczciwości społecznej swoich poprzedników. No i ma za sobą ogromną, właściwą XX wiekowi dojrzałość owej literatury faktów. Opowiadania zbioru na ogół nie mają złożonej fabuły klasycznych nowel. Są to jak gdyby utrwalone przez inteligentnego i drwiącego obserwatora momenty staré przeciwstawnych postaw, dążeń, spłęcia dyskusji światopoglądowej. Dyskusji nie słów, ale częściej działań ludzkich. Dzieje się to wszystko na wsi współczesnej, bardzo autentycznej, dobrze znanej, przeżytej przez autora. Imponujące jest bogactwo typów ludzkich zaobserwowanych przez Babinicza z pasją przypominającą realistów pierwszej połowy XIX wieku. Była to dobra dickensowska i gogolowska tradycja rozkoszowania się osobliwościami ludzkimi. Babinicz bardzo uszlachetnia tę niedzielską technikę. Angażuje bowiem te

\*) Waldemar Babinicz, „Za ścianą”, Wydawnictwo Łódzkie, 1963, s. 250.

osobliwe charaktery w wielki i zmasowany, ciągle ten sam spór z tradycją, obrazach Babinicza walka jest trudna i nieraz głęboko dramatyczna, ale nie egoistycznej okupacji klerykalnej, ciemnej i zahakanej wsi. Wsi oddającej pielgrzymek, znachorów, zaszczytów chłopskich szermierzy wolnej myśli.

Babinicz ukazuje wieś nową, która przeobraziło budownictwo socjalistyczne w kraju, masowy awans społeczny, upowszechnianie kultury i rozwój życia organizacyjnego. W opowiadaniu jego stale mówi się o telewizji i radiu, o klubach wiejskiej inteligencji, o kolach ZMW, o uniwersytetach ludowych, absolwentach szkół przysposobienia rolniczego. Jego młodzież ukończyła szkoły, często średnie. Jest to wieś postępu gospodarczego, gospodarstw nasiennych, niezłej komunistycznej, samochodów i motocykli. Wieś, która czyta, dyskutuje, jest związana wieloma niemi z kulturą socjalistyczną, z miejskim stylem życia pod wieloma względami. Wieś, na której żyje i działa nowa inteligencja, techniczna i nauczycielska — humanistyczna. Na tym tle rozgrywa się dopiero walka o rządy dusz staroświeckich proboszczów i młodych, kutyh na cztery nogi wikarych, sióstr — skrytek zakonnych, z tymi nowymi siłami, które wyrosły wokół socjalistycznych instytucji społecznych na wsi. Ta nowa prowincja jest oporna, rozbudzona, krytyczna. Ma poczucie odpowiedzialności za swoją przyszłość. Ludzie chcą być duchowo wolni i umieją znajdować drogi wyzwolenia, awansu kulturalnego i ekonomicznego. Z książką Babinicza jasno wynika, że te wiekowi skorupie pleśni z przesądów i niedo-rzałości duchowej zdzierają młody wiatr socjalistycznej przebudowy kraju.

Hipokryzji i egoizmowi znachorów nawiedzonych, plebanów, systematycznie szpiegowanych, szczucia tłumów na jednostki przeciwstawiają się młodzi. Ich oparciem jest socjalistyczna szkoła, ludowy uniwersytet, organizacja; ich siłą uspołecznienie, poczucie wspólnoty w tym co nowe i lepsze na starą wsi.

Jasno wynika z obserwacji autora, że stale postępuje u nas laicyzacja coraz to nowych dziedzin życia prywatnego i zwłaszcza publicznego, a nie ich sakralizacja.

Potwierdza to i pionierska praca badawcza Edwarda Ciupaa, autora paru książek socjologicznych o religijności wsi współczesnej.

Chciałbym powtórzyć — książka Babinicza nie jest obrazem zwycięskiej sielanki. Zawiera dość akcentów dramatycznych. Ale w niej wreszcie przegląda się nowy pejzaż prowincji polskiej. Nie ma w nim groźnej przewagi murów klasztorów nad pustką kulturalną i zacofaniem gospodarczym jak było u Krasickiego. Jest to wreszcie pejzaż ruchliwego, gospodarczego kulturalnego życia, nad którym nie ciąży „zbędne ręce” niedawnej przeludnionej i nieruchomej wsi. W tym pejzażu po raz pierwszy w naszej historii mur szkolny góruje nad murem klasztornym.

„Za ścianą” to dobra książka. Jest nieco sztywna, inteligentka polszczyzny

(Dokończenie na str. 8)

**R**OZPOCZĘTY niedawno w kraju nowy rok akademicki dość szerokim echem odbił się w naszej prasie, w małym przecież stopniu publikacje publicystyczne zajmowały się tak kapitalnym zagadnieniem, jak rozliczne formy studiów zaocznych. Nader mało informuje się zwłaszcza o osiągnięciach i brakach w systemie szkolnictwa wyższego dla osób pracujących zawodowo. Jeśli się weźmie pod uwagę, że mamy obecnie takich studiujących w Polsce ogółem 70 tysięcy — a liczyć można na dalszy jeszcze wzrost w latach następnych — problem ten nabiera szczególnej wagi społecznej. Przypomnieć tu wypada, że pożądanym stan zatrudnienia powinien wzrosnąć w r. 1980 do ok. 800 tys. osób, z czego 35% ogólnego zapotrzebowania pokryją studia dla pracujących. Jeśli przyjąć ubytek naturalny w granicach 2,5-3% rocznie w stosunku do obecnej prawie 300-tysięcznej kadry pracowników z wyższym wykształce-

niem, który w okresie planu perspektywicznego wyniesie ok. 100 tys osób, szkolnictwo wyższe będzie miało za zadanie wykształcić ponad 600 tysięcy nowych absolwentów, z czego 200 tys. na studiach dla pracujących.

Podstawowym warunkiem sprawności praktycznej tych danych liczbowych będzie oczywiście rezultat działalności całego złożonego i skomplikowanego systemu szkolnictwa dla

ludzi pracy. Dotychczas wiele jeszcze mankamentów organizacyjnych, kadrowych i materialnych ciąży nad tym systemem, co w rezultacie przynosi zbyt nikłe wyniki w końcowym etapie studiów przy zdobywaniu dyplomów inżynierskich. Otwarta w początkach października Wyższa Szkoła Inżynierska w Rzeszowie jest zapowiedzią powołania do życia nowego typu uczelni dla ludzi zatrudnionych w tym poważnym, w skali województwa, ośrodku przemysłowym. Powstanie innych tego rodzaju ośrodków naukowych na terenie całego kraju może wróżyć radykalną zmianę w realizacji uchwał XI Plenum KC PZPR kreślących linię rozwojową szkolnictwa wyższego pokrywającą się z perspektywicznym planem rozwoju gospodarki narodowej i kultury.

Najaktualniejszą obecnie potrzebą w tej dziedzinie jest właściwe realizowanie programu pomocy dla studiujących przez rady zakładowe związków za-

wodowych. Nie bez podstaw sekretarz CRZZ, Czesław Wiśniewski, stwierdził niedawno, że „mimo rosnącego zainteresowania pracowników zdobywaniem wyższego wykształcenia, faktyczna liczba studiujących bez przerwania pracy zawodowej jest ciągle za niska w stosunku do potrzeb. Przyczyną tej sytuacji tkwią najczęściej w braku właściwej troski o uczących się, w nieodpowiednich do nauki warunkach oraz w niedostatecznej wiedzy uczelni z zakładami pracy”.

(Dokończenie na str. 10)



# W RZESZOWIE „D N I” Z CHARAKTEREM

(Dokończenie ze str. 2)

kwiatów przysłanych przez kombinat ogrodniczy Państwowego Gospodarstwa Rolniczego w Charzewicach. A tej całej kwietnej feerii urodą wyhodowanych przez siebie róż nie ustępowali ogrodnicy-amatorzy — właściciele małych podmiejskich ogródków z osiedla WSK. ze Staroniwy.

Młodzież chętnie skorzystała z przywileju otwartych drzwi Wyższej Szkoły Inżynierskiej, która szykowałą się już na wysoki połysek do decydującego momentu nie tylko dla samej szkoły — do inauguracji pierwszego w dziejach Rzeszowszczyzny roku akademickiego we własnej, samodzielnej wyższej uczelni technicznej. Gdy piszę o tym, inauguracja została już dokonana; w dniu 3 bm., przy udziale ministra szkolnictwa wyższego, śpiewano „Gaudiamus igitur” w tej najmłodszej uczelni kraju.

W latach poprzednich postulowaliśmy operatyniejšie włączenie placówek kultury zlokalizowanych poza tradycyjnym starym Rzeszowem, pełniejsze zainteresowanie mieszkańców dzielnic przyłączonych ongiś gromad obchodami tej dorocznej reprezentacyjnej imprezy miasta.

Czy udało się to teraz? Może nie w całości, lecz coś zdołano osiągnąć. Miał tutaj przydział pracy Zakładowy Dom Kultury na osiedlu Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego, Klub Filmowy przy tymże Domu, który wyświetlał swój dokumentalny film „Bieszczady wczoraj i dziś”. Obraz ten uzyskał wysoką lokatę na festiwalu tego rodzaju filmów ZG Związku Zawodowego Metalowców. Zlokalizowana w tej dzielnicy wyższa uczelnia, nowoczesna sala audytorijna i laboratoryjne pawilony na pewno przyczynią się do dalszej kulturowej integracji tej wielkiej nowej części miasta.

Wbrew wieloletnim tradycjom, Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna w Rzeszowie serię okolicznościowych spotkań z pisarzami „przesunęła” do nowo otwartego, bynajmniej nie centralnie usytuowanego, ale bardzo ładnie urządzonego pomieszczenia nowej Biblioteki, oczka w głowie dzielnicy i miejscowego komitetu blokowego w rejonie ul. Staszica i ul. Obrońców Stalingradu. Wśród zaproszonych pisarzy był Jan Kurczab — literat z Krakowa, który spotkał się również z czytelnikami Biecha, Gorlic, Jasła, Iwonicza i innych miasteczek Rzeszowszczyzny. Warto może zacytować fragment listu krakowskiego pisarza, jaki po swych spotkaniach skierował do Redakcji „Nowin Rzeszowskich”. Pisz on m. in.: „Wszystkie (spotkania) umożliwiały autorowi opuszczenie sali z poczuciem dobrze spełnionego, właściwie adresowanego, obowiązku. Wszystkie zasługiwały na określenie — impreza kulturowa i kulturalna. Przede wszystkim oczywiście ze względu na publiczność”...

Przez cały okres „Dni” nie tylko na naradach, dyskusjach, odczytach porwano do problematyki XIII Plenum KC i wypływających zeń zadań dla kulturalnych poczynań regionu. Środowisko plastyczne, coraz żywsze i bardziej skonsolidowane, wystąpiło z wystawami, z konkursem zdolnym zainteresować szersze masy odbiorców. Taki charakter miał rozstrzygnięty na zakończenie „Dni” konkurs na rysunek o Rzeszowie, do którego nadesłano 11 zespołów rozmaitych rysunków, obrazujących w 100 pracach Rzeszów wczoraj i dzisiaj. Taki charakter, niepomiernie oczywiście lżejszego kalibru, ale przy masowym udziale... ojców, matek, nauczycieli, niezliczonych rzesz przyjaciel młodych adeptów kredki i pędzla, miał uliczny konkurs na dziecięcy rysunek o naszym mieście. Prawdopodobnie moje skromne pióro nie zdoła opisać tego miasta wyrysowanego przez najmłodsze pokolenie rzeszowian na wyłączonej z ruchu kołowego centralnej arterii. Zamykając natomiast relację o „Dniach” z charakterem, życzyłabym Rzeszowowi, by malcy, którzy tak uroczo wizje miasta rodzinnego wykolorowali na jego ulicy, zdrowo i spokojnie wraz ze swym grodem rośli.

Cecylia Błońska

Nie miejcie do mnie żalu, że opowiem wam o jednej niepełnej dobie, o kilkunastu godzinach życia człowieka, którego znam, o minutach właściwie niemożliwych do wyliczenia. Nie wiem zresztą czy warto drobiazgowo opowiadać o tym, jak chirurg Franciszek Hegel czekał na wywołanie miasta, szpitala, na spotkanie z ludźmi takimi samymi jak on, ale których bał się tak samo jak śmierci, tak samo jak życia.

Chirurg Franciszek Hegel niedawno uśmiechał się do mnie pod białą, gazową maseczką. To on, który zbliżał się do operacyjnego stołu w sposób, w jaki stolarz podchodzi do pokrytego trocinami warsztatu, opowiedział mi to wszystko.

Nie wiedziałem dlaczego. Lipiec nocy ma jeszcze krótkie. Ta noc po głupiej operacji wyrostka była jednak długa. Ciągnęła w nieskończoność linią prostą gwiazdnego mroku. Siostra Irena tamponem z gazy, lekko zwilżonym w ciepłej wodzie gasiła pragnienie suchych i nie wiadomo dlaczego obrzękłych warg. Uśmiechała się... nie było w jej pochylonej sylwetce nawet drobnego śladu zmęczenia. Oczy miała tylko trochę zielone, a szpitalny zegar na korytarzu wydzwaniał matowe kwadransy.

Rano siostra Irena powiedziała: — Dobranoc.

Przecież to było nadzwyczajne! Ona po nocnej służbie mogła się przespać, potem mogła iść nad rzekę, do kina, gdziekolwiek, mogła w biały dzień powiedzieć: — Dobranoc... To nadzwyczajne!

Potem była wizyta. Doktor Hegel stał sztywno przed moim łóżkiem — teraz ja próbowałem uśmiechać się do niego, zależało mi nawet na tym, a on co chwilę przyglądał się karcie choroby. Czerwony wykres temperatury i błękitny tętna dopiero się zaczęły.

W szpitalu kwiatów mieć nie wolno. Myślałem, że gdyby przypadkowo strzelił komukolwiek do głowy taki idiotyczny pomysł, żeby przysłać choremu kwiaty, to... To co?

Siostra Irena przysłała chowając za sobą bukiet, przysłała na pewno, żeby go pokazać. Powiedziała: — To dla pana. A ja: — Oczywiście to są kwiaty dla pani. A gdybym miał wyższą gorączkę powiedziałbym: — To dla ciebie...

I jakże to wszystko jest dobre. Kilku ludzi, którzy już mogli coś tam jeść, zabierali się do obiadu i wtedy spokojnie, łagodnie nawet usnąłem.

Wieczorem był w szpitalu mały szum. To się wyczuwa, leżąc nawet na piętze, w samym rogu. Wypadek. Słyszeliśmy, jak skrzypiały nosze, takie nosze na kółkach. Nasza sala, dziesiąta, była pełna, ale obok w jedynej co chwilę otwierano drzwi.

Szóstego dnia siedziałem na werandzie. Słowo daję, czułem się jeszcze nieszczególnie. Doktor Hegel przysiadł na leżaku obok. Poczęstował mnie papierosem i w ogóle nie mogłem zrozumieć, o co mu chodzi, czemu lekarz częstuje pacjenta papierosem?

— Za trzy dni wypiszemy pana — powiedział.

W szpitalnym ogrodzie dojrzały jabłka, dalej za krzewami agrestu chował się żywopłot popielaty od kurzu, a gdzieś za nim, na razie daleko miasto.

— Wie pan, w lipcu, akurat w tych dniach, leżałem w tym szpitalu, w dziesiątej sali, na tym samym łóżku naprzeciwko drzwi.

— Aha — pomyślałem sobie — co za głupi sentyment.

Ale on widocznie musiał o tym opowiedzieć. Założył nogę na nogę i dopiero zauważyłem, że prawy but pod nogawką spodni przedłuża się nienaturalnie sztywno.

— Proteza?

— Proteza. Tylko do kolana, ale już nie mogę tyle godzin stać i operować. Dobrze zrobiona — dodał.

Do diabła! Któż widząc go, jak normalnie pracuje, mógłby się tej protezy domyślać, w ogóle nie skrzypiała, rzeczywiście dobrze zrobiona.

— Wojna? — zapytałem.

— Partyzanci — odpowiedział — partyzanci rąbnęli granatem pod nogi.

— Przypadek? Pomyłka?

— Nie... Byłem lekarzem, tak jak i dzisiaj, ale w niemieckim szpitalu. Niemcy jadąc na akcje zawsze brali ze sobą lekarza... Rąbnęli, no bo co mogli zrobić innego? Najwyżej trochę dalej rzucić akurat ten granat.

— Heca — powiedziałem — nie mógł pan nawiać...

— Nie. Czy pan trzy dni temu mógłby uciec stąd do miasta?

— Nie, chyba nie. Ale pan mógł wcześniej. Najwyżej raniliby pana szwabi, a nie swoi, no nie mógł pan?

— Bałem się. Bardzo się bałem... Przed panem leżał na tym łóżku starszy już człowiek... on mnie poznał.

— Jak to poznał?

— Był w armii, walczył o to miasto, or, właśnie mnie znalazł, chciał zastrzelić... No poznał, po prostu poznał.

Szpitalny ogród, cichy, przeraźliwy szpitalny ogród cofał się wolno, zniknął za wieżami miasta, był wszędzie, nawet na tej werandzie. Siostra Irena podlewała irysy. Nic się nie dzieje — myślałem.

Leżąc na wznak miał przed sobą oszklone drzwi, drzwi sali dziesiątej prowadzące na korytarz. W osmiu matowych kwadracikach odbijał się zarys okna, coraz bardziej niebiesko. Wpół do czwartej — pomyślał — albo za kwadrans czwarta.

Doktor Franciszek Hegel leżał nieruchomo licząc po raz niewiadomo już który oszklone kwadraty w tych drzwiach. Dwóch najniższych nie mógł dojrzeć naprawdę, ale wiedział, że są. Sporo już lat spędził w tym szpitalu, teraz leży tu sam jako pacjent.

O świecie usłyszał znowu dalekie pomruki dział. Czy ta artyleria w ogóle śpi kiedykolwiek? Poczul przykre swędzenie na prawej nodze. Takie swędzenie na ogół zwiastuje gojenie się ran. I, choć lekarz, zapomniał, że boli go prawa, amputowana noga i to w miejscu którego już nie ma. Lewa obandażowana aż do biodra, podobna do kukły, bolała nie tak bardzo.

— Co jest?

— Ewakuacja, panie doktorze... Za chwilę przyskam, front już za Bugiem...

— Zabiorą mnie?

— Wszystkich, mówią, że za pół godziny, cholernie się muszą śpieszyć.

— Pawlak! — szeptał do pielęgniarki — musisz mi pomóc, musisz!

Pawlak pochylił się nad łóżkiem, a kiedy się wyprostował, podał doktorowi kartę choroby. Hegel ołówkiem dźwignął kreski wykresów w górę, po czym gwałtownie zrównał je z linią poziomą. Wpisał datę i godzinę i tak, jak to było w zwyczaju, narysował krzyżyk.

Pawlak zawiesił z powrotem kartę choroby i zapasowym prześcieradłem przykrył wzdłuż łóżko Hegla.

Kiedy wynoszono go na noszach do kostnicy, najpierw jego, a potem tego spod okna, na parterze bałagan był coraz większy. Pawlak dopilnował znoszenia trupów i, kiedy miał się zająć żywymi, nawiał. Zaraz po nim odjechała auta upstrzone znakami czerwonego krzyża, szpital był pusty.

W najciemniejszym kącie kostnicy leżał na deskach Hegel. Odrzucił z twarzy brudne prześcieradło, z kieszeni piżamy wyciągnął paczkę papierosów. Nikt nie uniósł ręki, żeby się poczęstować.

Otaczał go trupi zaduch i niemożliwe do wytrzymania sny umarłych. Ranek był nieskończenie długi, nikt nie przychodził.

## SŁONECZNY LIPIEC

JERZY KSIĘSKI

Niemcy, okupując miasto kazali mu zostać w szpitalu. Został. Był chirurgiem, leczyl, operował — dobrze mu szło, był zadowolony. Nadal leczył ludzi chorych, rannych, konających, ludzi w kolorowych piżamach i szpitalnych koszulach zapinanych na obszYTE płótnem guziki. W magazynie wisiały mundury i czapki z trupa głową — nie chciał o tym wiedzieć, starał się nie myśleć o niczym poza salą operacyjną. Sala operacyjna była wyjątkowo świetnie wyposażona — tak opowiadał.

Dyrektor szpitala SS-man, kiedy zapinał ciasno pod szyją biały fartuch był lekarzem. Ja tam nie wiem, nie był dla mnie lekarzem i nigdy by nie był, ale tak opowiadał doktor Hegel.

Doktor Hegel chciał przetrwać wojnę. Nędzny strach o własną skórę? Właśnie! Dyrektor Langner udowodnił mu, że Hegel to rdzennie niemieckie nazwisko. — Franz Hegel! — Ha, ha...

I Franz Hegel podpisał volksliste. Operował już bez asysty czarnych mundurów, ale bał się. Okropnie bał się życia, które było tam — za murami szpitala.

Leżąc słuchał kanonady dział, liczył matowe kwadraciki, zapomniawszy o bólu. Wiedział co teraz nastąpi. Co musi nastąpić. Front się przybliżył, a szpital, niemiecki szpital, pełen poharatanych esesmanów, musi się ewakuować. Może już dzisiaj? Na pewno dzisiaj.

Świt obudzony wybuchami pocisków wstał szybko, rozjaśnił biel bandażu, w brunatnych plamach opatrunków błysnął żywą czerwienią. W nogach łóżka przysiadła okrutna pielęgniarka nocnych szpitali — popielata samotność z opaską rozpacz napiętą nad przejrzywym spojrzaniem oczu.

No i co? Chirurg Franciszek Hegel dźwignął się na łokciach. Ci, którzy leżeli razem z nim, byli nieobecni. Nieprzytomne, narkotyczne majaki laskawie pozwalały na przekroczenie wszelkich granic, nawet niemożliwych. Ten pod oknem naszpikowany w nocy morfiną umarł nawet nie wiadomo kiedy. W ogóle położyli go tu przez pomyłkę, front się zbliżał i Niemcy potracili głowy.

Zajechały samochody. Słyszał gardłowe okrzyki i rozkazy. — Co teraz? Wywożać mnie razem z nimi... To koniec — przeraził się. — Zostanę? Nie pozwolą, rozwalą, albo każą się otruć. A dokąd miał uciekać? Raz już przecież został w tym szpitalu. Nad głową namacał przycisk dzwonka. Przyszedł pielęgniarka — Pawlak.

Po południu strzelanina w mieście i w końcu samochody zajechały na podwórze. Leżał nieprzytomny ze strachu, bliski omdlenia... Przez moment pomyślał o tym, że przecież wszyscy się bardzo cieszą, wyłapywał dalekie okrzyki wiwatów, za szpitalnym ogrodem grała harmonia, ludzie płakali ze szczęścia.

Jakieś głosy koło kostnicy. Drzwi się otwały i ktoś powiedział: — Nie, chłopcy położymy ich w sadzie, nie koło tego ścierwa. Odeszli i znowu usłyszał tę harmonię i dalekie salwy wystrzałów. — Ludzie! — zawołał, ale głos był tak cichy, że najwyżej mogli go usłyszeć umarli.

— Ludzie!!! — drzwi były otwarte i od świeżego powietrza zakreśliło mu się w głowie. Leżące dookoła sztywne ciała zawirowały niby na karuzeli... — Ludzieeee!!!

Omdlał od bólu, przerażenia, od tego krzyku, którego nikt nie słuchał.

Dźwignął się na łokciach, wolno pełznął w kierunku drzwi. Opatrunki haczyły o rozczapierzone palce umarłych, nie zwracał już na to uwagi. Dopełznął do progu i wtedy zauważył go tamten. Miał na sobie zakurzony i bardzo brudny mundur, siedział na stopniach sanitarki z autوماتem na kolanach. Kiedy zobaczył Hegla, wstał ciężko i zaczął mu się przyglądać złym wzrokiem.

— Ach ty, szwabie — powiedział wkońcu — zabiję.

Ale nie zabił.

Leżał potem Hegel z polskimi żołnierzami, leżał i milczał. Ale kiedy po raz pierwszy wstał o kulach, zameldował się u dyrektora.

— Rehabilitacja... to było znacznie później — powiedział Hegel.

Ten, który chciał mnie zastrzelić, trafił tutaj, był przed panem, poznał — i doktor Hegel nagle posmutniał.

— Tyle lat jestem w tym szpitalu, ale teraz proszę pana wiedziałbym. Lekarz to nie tylko lekarz, nie tylko człowiek... Polski lekarz to Polak. Tamten będzie opowiadał, nie będzie mnie oszczędzać, bo i z jakiej racji, musiałem to panu powiedzieć... właśnie dlatego.

Z ogrodu wracała siostra Irena. Machała ręką, nie można było na nią nie patrzeć, taka była ładna.

Słoneczna niby lipiec przeszła obok werandy. Patrzyłem za nią długo. Doktor Hegel uśmiechnął się nieznacznie, nie tak serdecznie jak przed operacją, niemniej jednak był to uśmiech żywego człowieka.



# O chłopcu z Salskich Stepów

Przy ciągłej jeszcze nieznanosci pełnej dokumentacji zagadnienia hitlerowskich obozów koncentracyjnych i obozów jenieckich niezmierną wagę mają wspomnienia, relacje, pamiętniki tych wszystkich, którzy byli bezpośrednimi świadkami wydarzeń, ich uczestnikami — byłych więźniów obozów.

W zbiorze tego gatunku współczesnej literatury znalazła się jeszcze jedna pozycja — wspomnienia Włodzimierza Diegtiariewa — bohatera pięknej książki Igora Newerlego „Chłopiec z Salskich Stepów” (dziewiąte wydanie książki ukazało się w 1957 r.).

Warto przy okazji przypomnieć przyczynę ukazania się wspomnień W. Diegtiariewa. W r. 1957 Zina Szatalowa, tłumaczka radziecka, po przetłumaczeniu na język rosyjski książki Newerlego postanowiła odszukać bohatera powieści. Znalazła w Związku Radzieckim 500 Włodzimierzy Diegtiariewów. W końcu znalazł się 501 i okazało się, że to właśnie ten, którego szukała. Pamiętamy przyjazd Diegtiariewa do Polski i te niezwykle serdeczne spotkania z przyjaciółmi z obozów, z Igorem Newerlym, z mieszkańcami białostockich wsi, w których ukrywał się i działał W. Diegtiariew.

W trzy lata później na łamach radzieckiego miesięcznika literackiego „Don” ukazały się wspomnienia W. Diegtiariewa zatytułowane „Zwycięzając śmierć”.

Obszerna relacja W. Diegtiariewa obejmuje okres od 1940 do 1946 roku. W wyniku naglej napaści Niemców hitlerowskich na ZSRR autor, oficer armii radzieckiej, lekarz weterynarii dostaje się do niewoli i z kolei do obozu dla jeńców radzieckich koło Ostrowa Mazowieckiego. Na przykładach zapamiętanych wydarzeń omawia Diegtiariew całą potworność warunków życia w obozie jenieckim, który faktycznie jest obozem zniszczenia. Tajna organizacja, do której należał, rozwijała swoją działalność w kierunku ratowania ludzi chorych, walki z epidemiami, podtrzymywania na duchu słabych i obrony przed ostateczną zagładą.

W kierownictwie organizacji był oprócz autora podpułkownik Aleksiejew, starszy lejtnant Sacharow, a przede wszystkim wielki autorytet wśród jeńców general lejtnant Dmitrij Michajłowicz Karbyszew.

Ostatniego dnia grudnia 1941 r. W. Diegtiariew wraz z dwunastoma współtowarzyszami ucieka z obozu. Ucieczka została przygotowana przy wydatnej pomocy członka załogi obozowej, niemieckiego podoficera, Willego oraz okolicznych mieszkańców.

Rozpoczyna się nowy etap w życiu wojennym autora. Ukryty przez miesz-

kankę wsi Turobin Adelę Narowską, organizuje polsko-radziecki oddział partyzancki. Szereg akcji bojowych na pociągi, żandarmerię, rozprzestrzenianie wiadomości z nasłuchów radiowych — to owoce ciągłej bezkompromisowej walki z okupantem hitlerowskim. Na skutek denuncjacji niemieckiego szpicla Diegtiariew ucieka z domu Narowskiej i zatrzymuje się we wsi Kostry-Litwa u Stanisława Kostro. Działalność oddziału partyzanckiego zostaje wznowiona. W kilka tygodni następuje ponowne aresztowanie.

Diegtiariew wraz z Iwanem Krawczenką, uciekinierem z obozu, zostaje skazany na śmierć. Wyrok cofnięto po złożeniu wysokiego okupu, przekazane przez przyjaciół Diegtiariewa. Pertraktacje przeprowadziła bliska znajoma komendantki żandarmerii w lesie koło Dąbrówki na kilka minut przed rozstrzelaniem. Diegtiariew otrzymuje oficjalne zezwolenie na prowadzenie praktyki lekarskiej we wsi Kostry-Litwa. Tym samym powstały lepsze warunki dla kierowania oddziałem partyzanckim. Działalność bojowa zostaje rozwinięta i nasilenie akcji przypada na wiosnę i lato 1943 r. Jesienią 1943 r. Diegtiariew zostaje ponownie aresztowany i osadzony w więzieniu w Łomży. Po długich badaniach i torturach otrzymuje wyrok śmierci. Przygotowaną egzekucję grupy więźniów w lesie łomżyńskim przerywa nadejście partyzantów, którzy zaatakowali Niemców i zmusili do wycofania.

Po nieudanej akcji partyzanckiej na samo więzienie w Łomży w dniu 9 grudnia 1943 r., więźniów przetransportowano do obozu koncentracyjnego na Majdanku. W kwietniu 1944 r. znajduje się W. Diegtiariew w jednym z transportów do Oświęcimia. Wyzwolenie zastało go w obozie koncentracyjnym we Flossenbурgu.

Wspomnienia W. Diegtiariewa rejestrują wielką ilość zbrodni i nieszczęśliwych ludzi, odsłaniają całą potworność obozów dla jeńców radzieckich, więźniów i obozów koncentracyjnych. Najistotniejszym i silnie podkreślonym akcentem wspomnień jest zagadnienie wspólnej walki naszych narodów z okupantem hitlerowskim, prowadzonej bezkompromisowo i w każdych warunkach.

Całkowicie zdecydowana postawa polityczna W. Diegtiariewa i niezłomne przekonanie o ostatecznej klęsce hitleryzmu pozwalają mu przetrwać najcięższe chwile w obozach i więzieniach.

Drukowany poniżej fragment wspomnień odnosi się do okresu pobytu autora w obozie koncentracyjnym na Majdanku.

Edward Dziadosz

## Zwycięzając śmierć

WŁODZIMIERZ DIEGTARIEW

PIĄTE pole Majdanka, dokąd nas przywieźli, uchodziło za szpitalne, albo jak je tu nazywali — rewirowe. Z dwudziestu dwu baraków dziewiętnaście zajmowali chorzy. Chorzych obsługiwali lekarze spośród więźniów.

Za piątym polem wznosił się ponury budynek krematorium, w którego piecach dzień i noc paliły się trupy ludzkie. Tu również wykopane były głębokie rowy, w których dwudziestego trzeciego listopada 1943 roku hitlerowscy oprawcy rozstrzelali 18.400 osób.

Nocami daleko wokół widać było krwawo czerwone płomienie buchające z kominów krematorium. Duszący ostry zapach spalenizny ani na minutę nie przestawał przypominać o tym, że to nie sen, lecz straszna rzeczywistość.

Pewnego razu, stojąc u okna swojego baraku patrzyłem na rozjaśniony światłem obóz.

— Zachwycasz się? — Nieoczekiwanie ktoś mnie zapytał.

Odwrociłem się. Przede mną stał śniady, czarnowłosy człowiek z wychudłą twarzą. Na jego piersiach był czerwony trójkąt z literą „R” w środ-

ku. To oznaczało, że jest rosyjskim więźniem politycznym.

— Tak, zachwycam się — odpowiedziałem nie od razu. — Czyż nie ma się czym zachwycać? Otóż choćby tą drogą ku wolności! — wskazałem na krematorium.

— Wnet przyjdzie tu Czerwona Armia. Będziemy na wolności bez tej drogi — cicho, ale z przekonaniem powiedział przybysz. „Widać i tu ludzie mają nadzieję” — pomyślałem. — „Widać i tu są ludzie, których woli nie zlamano”.

Chwilę milczeliśmy patrząc na krematorium.

Mineło kilka dni i wszyscy więźniowie bloku zostali poróżdzeni po szpitalnych barakach piątego pola, ponieważ trzeba było miejsca dla nowo przybyłej partii więźniów. Znalazłem się wśród nieznanymi mi ludzi, w większości Polaków, których obsługiwał polski lekarz Henryk Wieliczański.

Wieliczański był bardzo interesującym człowiekiem. Niespokojny i energiczny, wciąż był w ruchu. Terapię znał świetnie. Dzień i noc bez ustanku doglądał chorych. Dzięki jego staraniom zachowało życie i wyzdrowiało setki więźniów.

Do tego to właśnie okresu odnosi się moja znajomość ze znanym polskim pisarzem Igorem Newerly. Byliśmy z nim w jednym bloku, a nawet spaliliśmy na jednych pryzkach, tylko on piętro niżej, właśnie pode mną.

Po ciężkiej chorobie na tyfus Igor Mikołajewicz bardzo osłabł. Pierwsze co nas zbliżyło to to, że Newerly świetnie mówił po rosyjsku i dobrze znał Rosję. Ja swobodnie mówiłem po polsku. Całodzienne dyskusje wyjawiały nasze ogólne poglądy na życie i nieważność do okupantów. To zaś zrodzi-

ELA Penkałówna przyszła do więzienia latem 1933 r. Pochodziła ze wsi powiatu puławskiego. Wyglądała zupełnie tak, jak na obrazach przedstawiających hoże, do-rodne dziewczęta wiejskie. Wysoka postać, wydatna pierś, twarz ogorzala, oczy szare, spokojne i dobre. O swoim aresztowaniu opowiadała nam w prostych słowach, trochę gwarą puławską. Wieś objęta była akcją przeciw sekwestrowi zabierającym chłopom ostatni dobytek. Chłopcy z komórki KZMP i z „Wici” pilnowali wsi i mieli dąć znać, gdyby nadjeżdżał do niej sekwestrowi. Tego ranka faktycznie sekwestrowi w asyście policjantów zbliżył się do wsi. Zawiadomieni przez zwiadowców, chłopcy wyprowadzili do lasu krowy i świnię. Obory i chlewnie zostały puste. Fela również wygnała swój dobytek, ale gdy wróciła do domu, zastała sekwestrowi wyciągającego jej maszynę do szycia. „Zezłościłam się strasznie — opowiadała nam Penkałówna — złapałam za maszynę, a sekwestrowi krzyknął przycisnąć. Uciekłam z chałupy, maszynę zostawiłam, ale wieczorem policja mnie zabrała”. Później dowiedzieliśmy się, że to „przycisnięcie” wcale nie było takie leciutkie, bo sekwestrowi po nim był poważnie poturbowany.

## Atak na Anty-Dühringa\*

SARA NOMBERG-PRZYTYK

Gdy dziś po tylu latach myślę o Feli, to widzę ją, jak siedzi gdzieś pod narą z zarzuconym na głowę paltem lub kocem, by jej nikt przeszkadzać nie mógł i czyta. Pamiętam kiedyś, podczas ciszy widzę: Fela szuka sobie zakątków, być może poczytać. Patrząc na tytuł „Anty Dühring” Engelsa. „Feli, to naprawdę za trudna dla ciebie książka” — mówię. „Nic nie szkodzi, niech się krzyknę poczytam”.

Penkałówna skończyła 4 klasy szkoły podstawowej na wsi, bo więcej klas tam nie było. Gdy przyszła do więzienia, ledwo czytać umiała. Ale jak ta dziewczyna chciała się uczyć — to wprost trudno sobie wyobrazić. A człowiek „uczony” był u niej w ogromnym poszanowaniu.

Było u nas w celi kilka grup szkoleniowych, w zależności od poziomu towarzyszek. Przede wszystkim grupa dziewcząt, która przerabiała przedmioty ogólne w zakresie 7 klas szkoły podstawowej. Grupę tę prowadziła Genia Czarnobilówna. A więc język polski, matematykę, geografii i historię. Niezależnie od tego towarzyszkami najbliższymi przygotowane teoretycznie przerabiała politminim, na które składał się kurs ekonomii politycznej i podstawowe zasady dialektyki materialistycznej. Grupa ta, dość liczna, uczyła się w ten sposób, że politycznie wyszkolona towarzyszka na podstawie będących w komunie, głęboko schowanych konspektów, przygotowywała wykłady, potem w małych grupkach dziewczęta szły do odpowiedzi w dniu następnym. Tak pracowała grupa najsłabsza. Grupa mocniejsza pracowała systemem seminaryjnym. Każda z książki przygotowywała się samodzielnie, prowadząca grupę wysuwała zagadnienia, nad którymi dyskutowano, a potem podsumowywała dyskusję. Raz w tygodniu regularnie prowadzono prasówkę, zwykle podzieloną na trzy działy: polityka zagraniczna, zagadnienia gospodarcze i sytuacja w kraju.

W 1933 r. w więzieniu na „Zamku” więźniowie polityczni pozbawieni byli zajęć szkoleniowych prowadziliśmy zaraz po spacerze, to znaczy od godziny dziesiątej do obiadu, tj. do godziny pierwszej. Najliczniejsza grupa samo-

materialistów pisemnych. Mogliśmy wypisywać sobie książki z biblioteki więziennej, a otrzymywać z wolności mogliśmy tylko książki teoretyków marksistowskich i endeckich. Jeszcze przed ogłoszeniem nowego regulaminu więziennego i generalnym atakiem na prawa więźniów politycznych, komuna lubelska miała, oprócz ogólnej, swoją własną bibliotekę. Były tam te dzieła klasyków i teoretyków marksistowskich, które legalnie wychodziły w Polsce. Gdy stało się wiadome, że biblioteka polityczna zostanie zlikwidowana, towarzysze zdolali wiele dzieł marksistowskich wnieść do książek z biblioteki ogólnej nie nasuwając żadnych podejrzeń. W ten sposób udało się przemyścić: „Państwo i rewolucja” Lenina, „Rozwój socjalizmu od utopii do nauki Engelsa”, „Anty Dühring” Engelsa i wiele innych. Dziełiliśmy się tymi książkami z komuną męską i one to stały się podstawą szkolenia marksistowskiego w więzieniu. Niezależnie od tego próbowałyśmy same przeprowadzić marksistowską analizę faktów z historii Polski i historii powszechnej. Na pewno popełnialiśmy przy tej okazji wiele błędów, ale sama próba zastosowania marksistowskiej dialektyki do konkretnych faktów, była już wiele warta.

kształceniowa zajmowała stół, pierwsza grupa drabinki. Uczestniczyłam w szkoleniu partyjnym niejednokrotnie potem, ale nigdzie tak, jak w więzieniu, nie wierzyliśmy, że nauka jest nierozdzielnie związana z naszym życiem, że bez tych wiadomości nie potrafimy przewodzić masom. Fela Penkałówna była jedną z tych, dla których więzienie było okazją do zdobycia wiedzy ogólnej i politycznej i które się z pazurami na tę wiedzę rzucały.

Ile przy tym było komicznych sytuacji, ile zabawnych qui pro quo. Pamiętam jak dziś taką prasówkę prowadzoną przez Genię Czarnobilównę. Referuje Ruchla (nazwiska już nie pamiętam). Miała może 1,40 m wzrostu i twarz całą w śladach po ospie i brodawkach. Była bardzo brzydka. Mówiła źle po polsku i robiła przeżabiane błędy. Referuje: „Francja miała zły stosunek do Włoch”. Felka nie poprawia, tylko spokojnie podpowiada: „mianowicie?”. A Ruchla przerażona: „Oj, Geniu, co do mianowicie, to ja nie wiem”. Była przekonana, że „mianowicie” to jakieś państwo.

Bardzo często wynikały i grzyby, bo były i takie towarzyszki, które na wolności zajmowały bardzo wysokie stanowiska partyjne i trudno im było pogodzić się z tym, że wiadomości nie posiadają żadnych, albo bardzo chaotycznych, i muszą zaczynać od początku. Trwało trochę czasu, nim to zrozumiały. buntowały się wewnętrznie, urażona była ich ambicja, ale w końcu brały się za książkę.

Nie na darmo mówiono, że komuniści więźniów politycznych, to uniwersyteci marksizmu-leninizmu. Fela Penkałówna i wiele jej podobnych właśnie w więzieniu zawarły znajomość i przyjaźń z książką.

Fela Penkałówna jesienią 1944 r., tuż po wyzwoleniu, została wraz z mężem zamordowana w swojej rodzinnej wsi przez bandę NSZ. Nie sądzono jej było żyć w Polsce Ludowej, o którą tak dzielnie walczyła.

\* Fragment wspomnień pt. „Więzienie było moim domem”, które ukazały się nakładem Wydawnictwa Lubelskiego.

ło obopólne zaufanie. W niedługim czasie mocno zaprzyjaźniliśmy się. W swoim życiu pracował on jako cieśla, zeglarz, nauczyciel i redaktor czasopisma. Tysiące kilometrów schodził i przepłynął w sportowej łodzi ten jeden wiedzy człowiek. Igor Mikołajewicz od razu mi się spodobał. Widziałem w nim człowieka o pięknej duszy, bardzo wykształconego, odważnego i wytrwałego. On mnie poznał ze swoimi polskimi przyjaciółmi, znajdującymi się w tym samym bloku: Adolfem Dobrzańskim z Puław, Eugeniuszem Czyżem z Dąbrowy, Ryszardem Towalskim z Lublina i byłym oficerem polskiej armii, Szymańskim.

Powoli wracały mi siły. Zgodnie z decyzją doktora Wieliczańskiego zacząłem pomagać mu opatrywać cho-

rych i rozdawać lekarstwa według jego wskazówek.

Pewnego razu przyszedł do mnie Michajłowicz i zaproponował pracę lekarza.

Razem z Michajłowiczem poszedłem do Michałowicza. Profesor starszy już, ale jeszcze krzepki człowiek, przyjął nas bardzo przychylnie. Długo rozmawialiśmy o różnych chorobach, o sposobach zapobiegania i leczenia ich w warunkach obozu koncentracyjnego. Najwięcej mówiliśmy o chirurgii, ponieważ Michałowicz specjalizował się właśnie w chirurgii. Rozumiałem, że nasza rozmowa była swego rodzaju egzaminem, który miał zadecydować o przyznaniu prawa do pracy jako le-

(Dokończenie na str. 8)



# Lublin u progu XX-lecia

ROMAN ROSIAK

Rok 1964 cała Polska będzie obchodzić pod znakiem swego wielkiego święta — XX-lecia istnienia państwa polskiego. Nie ulega też najmniejszej wątpliwości, że wyjątkowo prawo do udziału w tym święcie mieć będzie Lubelszczyzna. Rok ten nazwany został Rokiem Ziemi Lubelskiej dla upamiętnienia zasług tego regionu w walkach o wyzwolenie narodowe i społeczne Polski, o budowanie fundamentów nowej państwowości, o zapoczątkowanie nowej ery w dziejach polskiej nauki, kultury i oświaty, przemysłu i rolnictwa. Tutaj powstał nie tylko PKWN, którego Manifest lipcowy stał się kamieniem węgielnym pod budowę Polski Ludowej. W Lublinie, który także w 1964 roku obchodzić będzie doroczną imprezę pod nazwą Dni Lublina, jeśli nie liczyć, a jednocześnie nie umniejszać krótkotrwałej roli Chełma, wzięło swój początek prawie wszystko, z czym spotykamy się dzisiaj na każdym kroku. Przemiany w rolnictwie zapoczątkował dekret o reformie rolnej, Lublin wydał pierwsze polskie gazety, książki, powołał do życia pierwsze szkoły, pierwszy socjalistyczny uniwersytet na ziemiach polskich, teatr, radio itd.

Czas zrobił swoje. O roli Lublina w powstaniu i kształtowaniu się państwa polskiego w Polsce mówi się i pisze, niestety, stanowczo za mało. Kiedy w roku 1945 rząd R. P. powrócił do stolicy, życie w naszym mieście wróciło po burzliwych miesiącach pracy i walki, miesiącach pełnych patosu i ofiarności do normalnego trybu. Staliśmy się znowu prowincjonalnym miastem, stolicą województwa. Zaczął się trudny okres odbudowy i rozbudowy miasta i województwa, które krok za krokiem starało się zbliżyć do czołówki krajowej, by raz na zawsze wymazać z mapy naszego kraju nazwę „Polski B”. Byłoby truizmem wyliczanie dorobku i osiągnięć minionych 19 lat w naszym mieście i województwie. Jedno jest pewne: Lublin, miasto 200 000 ludzi, miasto 5 wyższych uczelni, FSC i dziesiątków zakładów przemysłowych, placówek kulturalnych i społecznych, dotrzymał kroku nowej rzeczywistości, brał w jej tworzeniu poważny udział i dzisiaj, w obliczu nadchodzącego święta XX-lecia ma pełne prawo do dumy i zadowolenia z dotychczasowych zdobyczy.

Słusznie chyba też postąpił Komitet Organizacyjny Obchodów XX-lecia Polski Ludowej na terenie Lublina, wysuwając na pierwszy plan popularyzowanie postępowych tradycji lubelskiej klasy robotniczej w okresie międzywojennym i w czasie okupacji oraz dorobku Polski Ludowej we wszystkich dziedzinach. Tej szeroko zakrojonej akcji ma jednocześnie towarzyszyć wzmożona działalność organizacji politycznych, społecznych, związkowych i młodzieżowych, zmierzających wspólnie do dalszego upowszechnienia współzawodnictwa pracy, postępu technicznego, czynów społecznych oraz podnoszenia kultury miejsca pracy i estetyki naszego życia codziennego.

Zadania, jakie stawia przed nami wstępny plan obchodów XX-lecia PRL na terenie naszego miasta są bardzo poważne i można je będzie zrealizować tylko w oparciu o pełną mobilizację całego społeczeństwa lubelskiego, jego świadomy i masowy udział w przygotowaniach do tego święta, w podejmowaniu zobowiązań produkcyjnych i czynach społecznych.

Szczególnie wiele zależy będzie od czynów społecznych, zarówno tych o charakterze ogólnomiejskim, jak również akcji lokalnych. Przede wszystkim planuje się uporządkowanie terenu LSM, Miasteczka Uniwersyteckiego i ulicy Głębokiej. Główny ciężar spoczywa w tym zakresie na UMCS, MKCZS i LSM. Jeszcze w bieżącym roku zostaną założone trawniki przy ulicy Głębokiej, w roku zaś przyszłym skarpę wzdłuż ogrodu botanicznego. Drugą poważną akcją będzie uporządkowanie arterii wjazdowych do miasta. I tak zakończy się przebudowę ulicy Kunickiego jeszcze w bieżącym roku, uporządkowana zostanie Aleja Krańciska (głównie dzięki wojsku i przedsiębiorstwom gospodarki komunalnej). Zmieni również swój wygląd ulica Lubartowska (szczególnie dzięki spółdzielczości i LPTB), Droga Męczenników Majdanka oraz Aleja Warszawska i ulica Melgiewska (FSC).

Kontynuowane będą również prace przy budowie zalewu zemborzyckiego i parku na Węglinie. Na wyróżnienie zasługuje też planowane uporządkowanie terenów Kliniki Akademii Medycznej przy ulicy Jaczewskiego. Dzięki temu, że dziennie pracuje tam około stu lekarzy i pielęgniarek, jeszcze w bieżącym roku założonych zostanie 10000 metrów kwadratowych trawników.

W ramach lokalnych czynów społecznych mieszkańców Lublina zbuduje się szereg placów dla dzieci, 4500 m sieci wodociągowej, pobudowane zostaną nowe drogi, zwłaszcza w dzielnicach: Dziesiąta, Czechówka i LSM. Miasto nasze otrzyma także tysiące krzewów i drzew, głównie przy ul. Głębokiej, Kunickiego i Jaczewskiego.

Przewiduje się, że każdy pełnoletni obywatel naszego miasta w latach 1963—1964 przepracuje 10 godzin w ramach czynów społecznych, których ogólna wartość wyniesie 23 000 000 złotych. Plany w zakresie czynów społecznych są niewątpliwie imponujące, dużo się też robi dla ich spopularyzowania, o czym świadczą prace przygotowujące książki, projekty, plakaty, plany itd. Wydaje się jednak, że więcej uwagi trzeba poświęcić zbyt skromnemu — jak dotychczas — wkładowi młodzieży szkolnej, związków zawodowych, jak również samej organizacji pracy. Główną bolączką jest niedotrzymywanie harmonogramów przez poszczególne zakłady pracy, szwankuje też i to dość często, dyscyplina pracy. W tym miejscu warto pokusić się o apel do sekretarzy POP, dyrekcji i kierownictwa, by częściej ich widać było razem z załogami realizującymi czynny społeczny. Dobry przykład z pewnością pomoże w mobilizowaniu całego społeczeństwa, tym bardziej że wartość czynów w roku bieżącym wyniesie tylko 8 000 000 złotych, a w roku przyszłym winna być dwukrotnie wyższa.

O ile czynny społeczny mogą napawać otuchą i optymizmem, o tyle w zakresie inwestycji sytuacja w Lublinie przedstawia się wręcz katastrofalnie. Złośliwi twierdzą, że największym osiągnięciem w tym zakresie będzie ponowne (które to już z kolei?) uruchomienie fontanny przy Placu Litewskim, być może także będzie już można przejść przez Bramę Krakowską... Żarty — żartami, ale z pewnością nie może cieszyć fakt, że w dalszym ciągu nie ma pieniędzy na budowę teatru, jak również drugiego skrzydła Zamku. Sala zebrań również znajduje się w sferze dyskusji. Hala sportowa zostanie wprawdzie oddana w 1964 roku, ale tylko częściowo, bez pływalni. Realnie wydają się tylko inwestycje Lubgalu oraz przebudowa ulicy Armii Czerwonej.

Jest wprawdzie szereg konkretnych propozycji w zakresie budownictwa, adaptacji i remontów wielu obiektów kulturalno-oświatowych, ale przykład remontu Filharmonii może wystarczyć, by nie przyjmować bezkrytycznie kolejnych zapewnień o tym, że przebudowane zostanie kino Koziołek, zakończy się adaptacja Bramy Krakowskiej, Gęgorzka, muszli koncertowej w Parku Miejskim, Kaplicy Zamkowej itd. Z przykrością więc trzeba stwierdzić, że dla uczczenia PRL Lublin nie otrzyma żadnej większej inwestycji.

Jeśli chodzi o inwestycje mniejsze, jest ich dużo i zasługują istotnie na słowa uznania. I tak w miejscach masowych zbrodni hitlerowskich oraz siedzibach KC PPR, KRN, PKWN, ZG ZWM i innych obiektach wmurowane zostaną tablice pamiątkowe. Doprowadzi się też do porządku groby żołnierzy i zasłużonych działaczy, których imiona otrzyma także szereg nowych ulic i szkół.

Stosunkowo najwięcej będzie imprez kulturalno-oświatowych. Planuje się zorganizowanie XI Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego, związanego z XX-leciem PRL, III Ogólnopolskiego Festiwalu Teatrów Poezji, Ogólnopolskiego Festiwalu Amatorskich Klubów Filmowych, Ogólnopolskiego Festiwalu Amatorskich Chórów Robotniczych i Ludowych, Ogólnopolskiego Festiwalu Filmów Rolniczych, Ogólnopolskiego Festiwalu Amatorskich Zespołów Teatralnych, Ogólnopolskiego Festiwalu Kabaretów, Ogólnopolskiej Wystawy XX-lecia PRL w plastyce, jak również wystawy plastycznej czterech woje-

wództw, wystawy sztuki ludowej, wystawy fotografii amatorskiej, festiwalu orkiestr symfonicznych i dętych itd.

Już tylko wyliczenie samych ogólnopolskich imprez z jednej strony cieszy, z drugiej zaś zastanawia. Czy nie jest ich za dużo, czy na wszystko jest należyte pokrycie finansowe, gdzie jest zaplecze w postaci zakwaterowania dla tysięcy uczestników konkursów, czy przypadkiem nie będzie ich w jednym terminie jednocześnie po kilka, czy konieczne wszystkie muszą być w Lublinie? Można mieć też propozycje w związku z pewną jednostronnością projektodawców: wystaw plastycznych ma być np. cztery, zaś książki i prasy nie uwzględniono, a może jednak warto byłoby choćby kosztem jakiejś innej imprezy pokazać dorobek lubelskiej nauki, literatury, prasy? Może też warto pomyśleć o spotkaniach autorskich, jakimś montażu poetyckim poświęconym Lublinowi, wystawieniu w Reducie 61 którejsz z jednoaktówek Czechowicza (n.b. w przyszłym roku mijają 25 lat od jego śmierci), bądź też innych pisarzy lubelskich? \*

Z satysfakcją trzeba odnotować wyjątkowo bogate plany CWF, dzięki którym w każdym miesiącu odbędą się imprezy filmowe, które zadowolą chyba najbardziej wybrednych. Trudno je nawet wyliczyć, tak ich dużo, wymienimy więc zatem tylko niektóre z nich: a więc w styczniu 1964 odbędzie się przegląd filmów polskich pod hasłem „Warszawa walcząca”, w marcu — przegląd pod hasłem „Kobieta w filmie polskim”, w maju — sesja naukowa poświęcona polskiej kinematografii, ogólnopolskie seminarium filmowe, przegląd filmów polskich nagrodzonych na międzynarodowych festiwalach, plebiscyt i wybór najlepszych aktorów XX-lecia, w czerwcu — filmowa zgaduj-zgadula, w lipcu — kulminacyjny punkt uroczystości, czyli Lubelskie Dni Filmowe itd. Zarówno ilość imprez filmowych, jak ich różnorodność zasługuje na podkreślenie. Organizatorzy pomyśleli nie tylko o przeglądach i festiwalach, ale również konkursach, sesjach, zjazdach, wystawach plakatu itd. Jeśli podobne imprezy otrzymają i inne miasta naszego województwa — będzie to jedno z naprawdę poważnych osiągnięć Roku Ziemi Lubelskiej.

W zakresie wydawnictw planuje się oddanie do rąk czytelników ponad 15 pozycji przygotowanych dla uczczenia XX-lecia PRL. I tak nakładem Wydawnictwa Lubelskiego ukaże się praca naukowa Krystyny Kersten pt. „PKWN — zarys organizacji władzy”. Tadeusz Chabros przygotowuje sylwetki zasłużonych ludzi Ziemi Lubelskiej. Ukażą się też specjalne tomy wydawnictw seryjnych, a więc „Rocznika Lubelskiego”, „Ziemi Lubelskiej”, „Lubelskiego Rocznika Pedagogicznego” i „Kalendarza Lubelskiego”, które będą się starały zobrazować całokształt dorobku gospodarczego, społecznego i kulturalnego naszego regionu w okresie od roku 1944 do 1964. Poza tym bibliofile otrzymają dwa tomyki Czechowicza: „Poemat o mieście Lublinie” oraz „Prowincja noc”. Ukażą się m. in. takie pozycje, jak: „Kalendarium walk BCH na Lubelszczyźnie”, tom wspomnień działaczy PPR, GL i AL pt. „Ja, syn ludu polskiego...”, „Studia z dziejów Lublina”, „Lublin w życiu i twórczości pisarzy polskich” — A. Grychowskiego „Nazwy miast Lubelszczyzny” — S. Warchoła, folder o Lublinie i wiele innych pozycji.

Jeśli chodzi o imprezy sportowe i turystyczne — jak dotychczas plany są bardzo skromne i poza masowymi spartakiadami oraz gwiazdzistym rajdem motorowym brakuje atrakcyjnych spotkań piłkarskich, lekkoatletycznych itp. A przecież stosunkowo tanim nakładem finansowym (poszczególne instytucje mogłyby ofiarować nagrody rzeczowe), można by zorganizować np. bieg ulicami Lublina, może nawet w obsadzie ogólnopolskiej, o Puchar XX-lecia PRL dla rówieśników Polski Ludowej, tj. dla zawodniczek i zawodników urodzonych w roku 1944. Należałoby też pomyśleć o zabezpieczeniu w przyszłym roku solidnej obsady dla tradycyjnego wyścigu kolarskiego Szlakiem Wyzwolenia. Może też udało by się zaaranżować jakieś spotkanie międzynarodowe?

Co do handlu lubelskiego i tu przewiduje się podjęcie odpowiednich kroków dla zapewnienia sprawnej obsługi masowych imprez i wycieczek, planuje się zorganizowanie kilku imprez kulturalno-oświatowych i konkursów.

\* Do Kalendarium obchodów w Roku Ziemi Lubelskiej został już zgłoszony bogaty program upamiętnienia 25 rocznicy śmierci Czechowicza, 30-lecia „Kamień”, licznymi imprezami literackimi. — Red.

Zakończona zostanie modernizacja sieci handlowej w naszym mieście, do użytku oddane zostaną dwa pawilony handlowe za Cukrownią i przy ulicy Głębokiej, następnie 4 sklepy MMH oraz 5 punktów detalicznych w dzielnicach peryferyjnych: Wrotków, Rury Jezuckie, Czechów, Sławinek i Dziesiąta. Przy ulicy Osterwy i Staszica zostanie otwarta kawiarnia i bar samoobsługowy. W końcu jeszcze jeden prezent: utworzony zostanie w Lublinie sklep z pamiątkami, przy czym, rzecz jasna, przeważać będą wyroby regionalne. Nareszcie będzie można (oczywiście, jeśli się odpowiednio wcześniej o tym pomyśli) kupić lubelskie widokówki, foldery, herb naszego miasta, ceramikę ludową itp. Kto wie, czy nie należałoby również utrwalic XX-lecia PRL w filatelistyce poprzez zorganizowanie wystawy regionalnej, okolicznościowe kasowniki czy całostki. Zbliżająca się rocznica mogłaby stać się również istotnym argumentem dla lubelskich filatelistów, którzy bezskutecznie, jak dotąd, starają się o wydanie przez Warszawę znaczka z widokiem Lublina w ramach tzw. „serii miast”. Założeniem tej serii było ukazanie miast, które były stolicami, bądź też odegrały poważną rolę w historii Polski. Na 20 wydanych już znaczkach widnieją m. in. wizerunki Wałbrzycha, Kolobrzegu, Płocka, Legnicy, Fromborka... Czyżby Lublin naprawdę miał w stosunku do nich mniejsze zasługi?

Dyskusja nad planem obchodów XX-lecia PRL na terenie Lublina dopiero się rozpoczęła. Trwają narady, na których podejmuje się zobowiązania, wytycza kierunki działania, opracowuje konkretne propozycje, by do grudnia br. dokonać ostatecznej korekty naszkicowanego projektu. Miejmy nadzieję, że władze i społeczeństwo uczynią wszystko, by to wielkie święto otrzymało w naszym mieście szczególnie uroczystą, radosną i bogatą oprawę, by uczestniczył w nim każdy mieszkaniec Lublina.

## „RUCH” rozszerza swoją działalność

Dla uczczenia XX-lecia Polski Ludowej Przedsiębiorstwo „Ruch” podjęło poważną, zakrojoną na szeroką skalę akcję organizowania wiejskich klubów prasy i książki. Jest to nowa forma służenia społeczeństwu, szczególnie wiejskiemu. Podjęte przez „Ruch” hasło „Idziemy na każdą wieś” spotkało się z pełnym poparciem ze strony władz politycznych i administracyjnych oraz instytucji związanych z problematyką kultury na wsi.

Zorganizowane eksperymentalnie wiejskie kluby prasy i książki w województwach: katowickim, opolskim, poznańskim i innych zdążyły egzamin i stały się ośrodkami kultury promieniującymi nie tylko na mieszkańców wsi, w której założono klub, lecz także na ludność wsi okolicznych.

Na Lubelszczyźnie pierwszy wiejski klub prasy i książki otwarto w dniu 29.IX br. we wsi Łózki, w powiecie radzyńskim. Warto podkreślić, że społeczeństwo tej wsi bierze czynny udział w pracach społecznych. Koszt 600 tys. zł (w tym połowę stanowią prace wykonane w czynne społeczne przez miejscową ludność) wybudowano wiejski dom kultury. Zorganizowano też kursy kroju i szycia, chór, zespół taneczny, wybudowano blisko kilometr drogi, przecinającej wieś. Miejsce Koło Gospodyń Wiejskich może poszczycić się poważnymi osiągnięciami.

Wiejskie kluby prasy i książki otwarto również w Janowcu (powiat puławski) i w Szpikotłach (powiat hrubieszowski). Do końca br. PUPK „Ruch” w Lublinie otworzy 25 klubów prasy i książki. W klubach organizowane będą odczyty, spotkania i zebrania gromadzkie oraz szereg imprez o charakterze kulturalno-rozrywkowym.

W czytelnik-klubie znajdują się niemal wszystkie dzienniki i czasopisma wychodzące w kraju. Nie zabraknie również „Kamień”. Przy czarnej kawie lub herbacie można będzie również posłuchać radia i obejrzeć program telewizyjny. Przewidzono tam będzie poza tym sprzedaż prasy i książek, szczególnie o tematyce rolniczej. Warto podkreślić, że kluby te czynne będą w godzinach najbardziej dogodnych dla miejscowej ludności. Godziny uprzednio uzgodnione zostaną w GRN. W przyszłości przy klubach planuje się założenie gromadzkich bibliotek publicznych. Plan na rok przyszły przewiduje, iż w każdym powiecie powstanie 5—7 tego rodzaju placówek. Przewiduje się, że celowo otwartych klubów — współdziałanie w rozszerzaniu i pogłębianiu działalności kulturalnej na wsi zostanie osiągnięty.

Zenon Kwaśniewski



# WIERSZE POETÓW RZESZOWSKICH

TADEUSZ PIEKŁO

## Obecność

każdy gest jedyny i niepowtarzalny  
ruch dotknięcie oczyszczone sprzed i po  
nasze przymierzanie światła  
(od przymierza nas z nami)  
nasza międzylonczna obecność

napór pór  
listwa blasku przesłana przez liście  
kielkuje stromym murem pod  
ociężałość nieba  
celowość wszystkich zdarzeń  
odstąpiła do kości  
tu i teraz  
jednoznaczne

oto pionowo wzniesione ostrze  
błyskawicy  
promień żyzny wbiłany w orgazm  
horyzontu  
gwiazdy w granacie nocy pękającym  
nagle  
powstrzymywany świetlny deszcz

nauka odchodzenia od siebie do siebie  
przypominana (skąd?) umiejętność  
zacierpienie nowych iskier świata

przenoszona od wczoraj do dzisiaj  
rozciągnięta jak drążek balansowy  
drżący  
poprzez gwiazd przewleczona  
cisza

w pół ujrzenia  
odkryta  
lotna  
obecność

BARBARA TONDOS

## Po dniu

Dziecko powiedziało:  
„Ulcy nie będzie”  
myślałam  
znajdę nieskończone nic  
Na końcu ulicy był  
Dworzec autobusowy  
Połem  
ulica przestała być  
przeszła być autobus  
drżący jak zdenerwowany koń

Smuży się oczekiwanie  
nad macierzyńską łagodnością wzgórz  
wydłużają się tęcze  
w tle szarego powietrza

Na ogromnym polu skib  
zostawiono mnie samą  
z kaleką kolumną  
jakbyśmy  
obie  
były  
na pamiętkę

## Dziewięć klasztorów czy wiele szkół

(Dokończenie ze str. 4)

na, przenizana jest świetnie podstuchanym językiem mowy dzisiejszej wsi kieleckiej, z całym pokoleniowym różnicowaniem stylów wypowiedzi. Nie ma w tej prozie zbędnych dłużyzn, jest duża umiejętność trafnego skrótu, operowania aluzją sytuacyjną. W pełni doceni walory tej książki ten, który wie coś niecoś o życiu i działalności autora. Wtedy bowiem staje się niewątpliwie, że przegody w niej opowiedziane cechuje reportażowy autentyzm. Autor nie waha się od czasu do czasu umiejscowić wydarzenia w rzeczywiste działające instytucjach prowincji kieleckiej. Bo też ten znany publicysta i autor kilku ciekawych książek beletrystycznych jest przede

LUDMIŁA  
PIETRUSZKOWA

\* \* \*  
Z krzykiem  
rodził się człowiek  
z krzykiem  
nowa gwiazda  
z mgławic się wydiera  
krzyk jak sztandar  
płynię ponad światem  
i cały wszechświat  
to gigantyczny  
krzyk istnienia

i tylko śmierć  
jest milczeniem

odrzuć precz  
dławiąc dłoń niewolnika  
gdziekolwiek jesteś  
i spleciony krzyk  
rzuć światu jak wyzwanie  
oto jestem

JOZEF JANOWSKI

## W widłach Ropy i Wisłoka

Wierzby w parkany  
zaplecione

susz z nich będzie  
i trzaskanie ogni  
aż do Kupali  
do owocobrania  
z drzew  
od szosy w Samokleskach  
po Toki  
po Zarzecze  
W Cieklinie  
jest pomnik  
z 1916  
Wieje przez niego wiatr  
od Gorlic  
od Dębowa  
gdzie kwitnie bez  
i buldeneże

ANDRZEJ JÓZEF  
CIEPLIŃSKI

\* \* \*  
Nie rozumiem tych,  
Którzy zniszczyli Naga-Saki  
Nie rozumiem drzew,  
Patrzających w ciszy na egzekucje.  
Nie rozumiem wiatru,  
Spiewającego w drutach  
Obozów koncentracyjnych  
Nie rozumiem dymu,  
Lekko wychodzącego  
Z kominów krematoriów  
Nie rozumiem śmiechu kul,  
Niosących śmierć.  
Nigdy nie zrozumiałem tych,  
Którzy o tym opowiadali  
I będą opowiadać.

wszystkim od lat wiejskim działaczem oświatowym i społecznym. Jego uniwersytet w Rożnicy jest dobrze znany postępowym intelektualistom polskim, których tam zawsze umiał ściągnąć do swojej młodzieży, i nowej wiejskiej inteligencji. „Za ścianą” to wymowny literacki komentarz codziennego trudu społecznika. Dla tego książka ta narzuca czytelnikowi przeświadczenie, iż jest w każdym rysie — prawdziwa.

Zasługuje ona na szczególną uwagę. Można bowiem do cytowanych wyżej nazwisk polskich pisarzy współczesnych, którzy poruszają problemy wpływów klerikalizmu na świadomość społeczną, dorzucić jeszcze parę, jak np. Natalii Rolleczek. W stosunku jednak do aktualnej wagi tego zagadnienia w Polsce książek takich jest bardzo mało. Widzenie przy tym tej problematyki na szerokim tle modernizacji wsi polskiej, właściwe Babini-czowi — należy zgoda do wyjątków w naszej literaturze. Jest to książka, która powinna się znaleźć w każdej bibliotece powszechnej.

Stefan Żółkiewski

(Dokończenie ze str. 6)

karzowi. Egzamin widocznie wypadł pomyślnie, bo na zakończenie profesor uścił mi rękę i powiedział: „Zostaniecie, mój drogi, lekarzem czternastego bloku, gdzie znajdują się wszyscy więźniowie obozu chorzy na gruźlicę”

Zacząłem werbować sobie ludzi. Rozumie się, że nie zapomniałem o swoich przyjaciół. Aleksandrowi Alesznowi zaproponowałem pracę starszego sanitariusza, sanitariuszami zostali również Adolf Dobrzański, Eugeniusz Czyż, Ryszard Towalski i Szymański. Pisarzem mianowałem swojego przyjaciela Igora Mikołajewicza.

Na drugi dzień ustawialiśmy już łóżka, przynosili chorych, urządzali się sami.

Któregoś lutowego dnia przyszli do mnie Larik Michajłowicz i Zdenek Wizner.

— Przed chwilą widziałem się z profesorem Michałowiczem — powiedział Michajłowicz.

Profesor oznajmił mi, że na Majdankę przybywa wielki transport więźniów z obozu karnego we Flossenburgu. W transporcie tym znajdują się ludzie wymęczeni ciężką pracą, torturami i głodem, niezdolni do dalszej pracy. Wśród nich — trzech radzieckich generałów i kilku wybitnych czeskich komunistów. Wiozą ich tu specjalnie dla wyniszczenia. Profesor Michałowicz obiecał zrobić wszystko, żeby uratować tych ludzi.

## Zwycięzając śmierć

— Ja mogę zabrać do swojego bloku dwóch radzieckich generałów i kogoś z czeskich towarzyszy — zaproponowałem.

— A ja wezmę do siebie trzeciego generała i kilku czeskich patriotów — powiedział Michajłowicz.

Oczekiwany transport przybył. Wiesz o nim szybko rozbiegła się po całym obozie. Wszystkich interesował dalszy los tych ludzi. W przepelnionych wagonach wieszono ich szeregami bez jedzenia i wody. Wielu umarło w drodze, wielu — przy wylądowaniu. Więźniowie wyglądali strasznie. Skórą obciążone szkielety. Zdawało się, że ręce, nogi, kręgosłup polamią się za dotknięciem i rozsypią w proch.

Michajłowicz z przybyłego transportu wziął do swojego bloku około dwudziestu ludzi. Pośród nich był generał-lejtnant Dymitr Michajłowicz Karbyszew.

Doktor Wizner przeniósł do swojego baraku także dwudziestu ludzi, w tej liczbie swoich przyjaciół, z którymi razem wojował w Hiszpanii w międzynarodowej komunistycznej brygadzie.

Ja wziąłem pod swoją opiekę generała-majora gwardii Timofieja Jakowlewicza Nowikowa, byłego dowódcę grupy radzieckich wojsk pod Moskwą, generała-majora Georgija Wasiliewicza Zusmanowicza i osiemnastu innych więźniów.

Nad częścią więźniów przywiezionych w tym transporcie rozłożyli opiekę lekarze: Wieliczkański, Pawłowski i inni. Pozostałych rozmieszczono w baraku — kwarantannie.

Naszych nowych lokatorów postaraliśmy się otoczyć szczególnym staraniem. Każdego wieczoru, po apelu, do bloku, gdzie znajdowali się generałowie, ukradkiem przekradali się nasi jeńcy wojenni i potajemnie spotykali się z nimi. Podchodzili do przyzwoitych się serdecznie i chowali pod materac kromkę chleba, kęs kiełbasy, margaryny, garść cukru — wszystko co udawało się zdobyć w obozowej kuchni, albo od wolnych robotników najemnych z Lublina.

Często wieczorami w czternastym bloku zbierali się przyjaciele posłuchać generała Nowikowa. Odwaga tego człowieka nie miała granic. Mimo iż był ciężko ranny, wycieńczony głodem i pracą ponad siły w obozie koncentracyjnym, Timofiej Jakowlewicz zachował w sobie hart ducha i młodzieńczy zapał do walki. Z tym zapałem mówił o potędze Armii Radzieckiej, o nowej znakomitej technice, o „katuszach”, o tym, że nasze wojska szybko przesuwają się naprzód i wkrótce już Niemcy hitlerowskie zostaną ostatecznie rozgromione. Każdy chłonął słowa generała, jak świeże powietrze. Wymęczeni ludzie znowu odzyskiwali wiarę w rychłe oswoobodzenie.

Podobne pogadanki prowadził generał Michajłowicz Karbyszew i generał-major Zusmanowicz.

Szczególną popularnością cieszył się Dymitr Michajłowicz. Wszyscy więźniowie Majdanki starali się zobaczyć i posłuchać Karbyszewa, tego bohaterę, którego nawet w obozie koncentracyjnym bali się hitlerowcy. O tym przykładowym męstwie i patriotyzmie generała wiedzieliśmy jeszcze w 1941 roku z czasów jego pobytu w obozie radzieckich jeńców wojennych w Ostrowie Mazowieckim. Faszystom znane było bogate doświadczenie i inżynierskiej. Hitlerowcy niejednokrotnie proponowali mu przejście do nich na służbę, zawsze jednak otrzymywali jednoznaczny odpowiedź:

— Zdrajcą nigdy nie byłem i nie będę.

W nadziei złamania ducha radzieckiego generała fizycznymi cierpieniami i głodem, naziści stwarzali mu warunki nie do zniesienia. Karbyszew był niezłomny. Wówczas niemiecka tajna policja zorganizowała prowokację. Oznajmiono mu, że na skutek porozumienia z dowództwem radzieckim będzie wymieniony na będącego w niewoli generała niemieckiego. Zawdzięczał go do Berlina do Ministerstwa Wojny. Po upływie kilku dni przedstawiciel niemieckiego dowództwa oznajmił mu, że jakoby Rząd Radziecki odmówił wymiany. Ponownie zaproponowano mu, by zapomniał o Związku Radzieckim i przyjął współpracę z Niemcami. Aby zachwiać jego stałość, sfabry-

kowano fałszywy dokument o tym, jakoby wobec rodziny generała w Związku Radzieckim stosowano represje. On jednak nie uwierzył i zażądał wyjaśnienia go do obozu dla jeńców wojennych, gdzie by na równi z innymi dzielił wszystkie uciężnienia i niedole. Odwieziono go wówczas do obozu w Hammelburgu. Niedługo potem Karbyszew wystąpił tam z protestem przeciwko wysyłaniu radzieckich jeńców wojennych do pracy w niemieckich fabrykach zbrojeniowych. Za „protegangę i agitację” skazali Karbyszewa na karcer, poddawali torturom, grozili śmiercią. Jednak i tu Dymitr Michajłowicz był wierny sobie: dodał otuchy przychodzącym do niego ludziom, wlewał w nich wiarę w zwycięski koniec walki.

Do późnej nocy ciągnęły się rozmowy i dyskusje w naszym baraku. Często w dyskusjach śpiewano cicho radzieckie pieśni. Często zaś ktoś zwracał się do wysokiego, chudego człowieka w okularach i z laską, do pisarza czternastego bloku Newerlego:

— Igor Mikołajewicz, opowiedz cośkolwiek!

Zbliżała się wiosna. Mrozy ustąpiły, przyszyła odwilż. A to było jeszcze gorzej dla chorych i wycieńczonych więźniów. Śmiertelność w obozie zwiększyła się. Lekarze spośród więźniów robili co mogli, żeby ulżyć ludzkim cierpieniom. Jak nam wtedy pomagał przyjacielski związek i pomoc wzajemna!

Nasze wojska podchodziły coraz bliżej. Jednocześnie hitlerowcy na Majdanku kontynuowali mordowanie ludzi. Piec krematorium dymił dniami i nocą. Płonęły stopy, na których nieprzerwanie paliły swoje ofiary.

Czternastego kwietnia czterdziestego czwartego roku rano do lazaretowych bloków piętego pola podjechały ciężarówki. Zaczęło się ładowanie chorych. Ze wszystkich stron słychać było krzyki i jęki. Byliśmy pewni, że ta ostatnia nasza podróż na tym świecie. Okazało się jednak, że razem z chorymi również i nas załadowali do wagonów towarowych. Na drodze do stacji zmarło wielu więźniów bardziej chorych i pokaleczonych.

Za wystąpienie z protestem przeciw okrutnemu obchodzeniu się z chorymi generał-major Timofiej Jakowlewicz Nowikow i generał-major Georgij Wasiliewicz Zusmanowicz zostali silnie pobici przez esesmanów.

Siedemnastego kwietnia 1944 roku po ciężkim pobiciu w drodze zmarł na moich rękach Nowikow. Przed śmiercią powiedział:

— Walczcie za Ojczyznę, towarzysze, zawsze i w każdych warunkach!

Na trzeci dzień około południa, nasz pociąg zatrzymał się na niewielkiej stacji. Przez otwarte drzwi wagonu na frontonie budynku przeczytałem napis: „Oświęcim”.

Przełożył Edward Dziadosz



# NAD ŚWINKĄ I WIEPRZEM

JERZY DOSTATNI

Jest to początek cyklu o awansie polskiej wsi, do publikacji którego przystępujemy w związku z XX-leciem Polski Ludowej. (Red.)

ZAMOŚCIA nikomu nie trzeba przedstawiać. O sto lat starszy Szczebrzeszyn też jest znany. Trudnościami wymowy i ortografii, w połączeniu z rzekomo tam właśnie brzmiającymi w trzcinie chrząszczami, od lat uprzykrza życie pierwszoklasistom i uczącym się języka polskiego cudzoziemcom. Przy klinkierowej szosie, łączącej te dwa miasta, bliżej Szczebrzeszyna, rozsiadła się okraciem wsi Bodaczów. Po jednej stronie nowa, po drugiej stronie stary Bodaczów. Wsię większa od niejednego miasteczka — 2.137 mieszkańców w dniu 1 października.

Pierwszy raz słyszycie o Bodaczowie? Chyba nieprawda. Spójrzcie dokładniej na opakowanie margaryny, która niechybnie znajduje się w waszym domu. Przeczytajcie tam: Lubelskie Zakłady Przemysłu Tłuszczowego w Bodaczowie. To właśnie tu robi się codziennie 30 ton margaryny, która — dzielona na trzy części — wędruje do sklepów województwa lubelskiego, kieleckiego i rzeszowskiego.

Przystanek autobusowy przy szosie nie posiada nawet daszka dla ochrony przed deszczem. Wskakują pod stojący obok kiosk i zagadują sprzedawcę:

— A co w tym zielonym baraku, który się rozlatuje?

— To nasza szkoła. Tu uczy pan Mosiewicz, i jest znowu kierownikiem.

— Dlaczego znowu?

— To pan nie wie? — zdziwił się młody człowiek. — Cała okolica o tym gada. Na 1 września został mianowany kierownikiem nowej, dużej szkoły w Zamościu. Klucze wręczał mu sam przewodniczący Rady Państwa. Ale my tu zrobiliśmy wielką petycję, że po kilkunastu latach nie chcemy tracić swego nauczyciela. Panu Mosiewiczowi też pewnie zrobiło się tęskno, bo po 2 tygodniach rzucił Zamość i znowu jest u nas.

Młodego sprzedawcy jeszcze nie było na świecie, gdy w Bodaczowie rozpoczęła się, tuż po wojnie, walka o prawdziwą szkołę. Przed wojną klasy mieściły się w kilku chałupach wiejskich. Zaraz po wojnie zebrali się co starsi mieszkańcy i zadecydowali, że to wstyd, aby ich dzieci uczyły się w towarzystwie — przez cienką ściankę — krów i świń. Z nauki pożytku niewiele i zdrowie tracą. Wyjechała więc delegacja na zachód i chciała wyszabrować jakiś poniemiecki barak. Ktoś tam przeskodził i wtedy barak kupiono za zebrane pieniądze. To było pierwsze po wojnie zwycięstwo Bodaczowa. Czwarte rozdział się dziś kilkaset metrów dalej, na skraju fabrycznego terenu. Nowa, wielka, naprawdę nowoczesna szkoła. Już zaczyna się kładzenie dachu i przysiężny rok szkolny blisko 400 dzieci tam już spędzi. Obok klas gabinety naukowe, świetlica, mieszkanie

dla kierownika, piękna sala gimnastyczna.

A drugie i trzecie zwycięstwo? Drugim było wybudowanie właśnie tutaj owej dużej fabryki margaryny. Nikt dziś nie zliczy, ile trzeba było petycji, delegacji, próśb, zadań, uzasadnień i zwykłych kłótni, zanim zdołano to osiągnąć. Chętnych przecie było wielu.

Deszcz przestał śnieżyć, idę więc nową szosą do fabryki. Jej szary, potężny masyw wyskakuje nagle spoza szkolnego baraku. W wielu fabrycznych budynkach furkoczą jakieś skomplikowane maszyny. W samym środku na wysokość 10 pięter wystrzela żelazobetonowy masyw silosów. Wygląda to jak przeciwartomowy bunkier, którego przez omyłkę nie schowano w ziemi, lecz postawiono na jej powierzchni. Magazynuje się w tych silosach kilkadziesiąt tysięcy ton sprowadzanego z całej Polski rzepakowego ziarna, którego tłuszcze jest podstawowym surowcem. W sąsiednich magazynach zagraniczne oleje arachidowe i oliwkowe.

Za rok będzie w fabryce czynna nowa, — jak mówią fachowcy — nitka produkcyjna. Produkcja podwoi się. Trzeba więc budować nowe silosy-magazyny. Dwa są już wyższe od najwyższych w Lublinie wysokościowców. Tyle, że okrągłe, bez okien, betonowe. Kierownik budowy Szewczak prowadzi mnie po trzęsących się schodkach na sam szczyt i po drodze tłumaczy skomplikowaną metodę budowy. Słucham jednym uchem, pilnując, aby z ramienia nie uciekła mi dusza, gotowa w każdej chwili do nadprogramowej, a szybkiej podróży na twardą ziemię. Oczywiście razem z ciałem... Pozostaje mi tylko w pamięci, że buduje się najbardziej nowoczesną metodą tzw. ślizgową, że ślizg (a potem silos) ma 20 m średnicy, co jest rekordem ogólnopolskim, że zamiast kosztownych rusztowań buduje się tylko jeden wąski wianuszek ze stalowych lin i desek, że ten wianuszek niemal sam wspina się po stalowych prętach żelbetonu w miarę jak powstaje ściana, że tu wszystkie wymiary obliczone są do milimetra, a ciężary do grama. Wierzę na słowo, a widzę pajęczą siatkę, trzymającą się raczej na słowo honoru...

Pięć wielkich bloków mieszkalnych, które dla sprowadzonych z całego kraju fachowców wybudowała fabryka, z tej wysokości wydają się znacznie mniejsze. Podobnie zmałał położony w pobliżu pałac, w którym rozdziły się kolejne pokolenia hrabiów Zamojskich, przez wiele stuleci niemal absolutnych panów tej, okolicznej, dalszej i jeszcze dalszej ziemi. Zresztą w pałacu rzadko było pełno. Ostatni z hrabiów ani myślał naśladować przodka-hetmana i większość życia spędzał w kabaretach Montmartre'u i luksusowych hotelach Lazurwego Wybrzeża. Niemal w samym środku zamojskiej ordynacji, która dostarczała pieniądze na to zagraniczne życie, przytulili się chłopscy wieś Bodaczów. Hrabowskie ziemie otaczały ją ciasną obrotką. Ale wieś nie dawała się. Toczyła otwartą i podjazdową walkę o serwituty, dzieliła się na coraz mniejsze pola i polećka, ubierała się marnie, jadła co popadło, ale była niezależna.

Od klinkierowej szosy długim lukiem ciągnie się polna, szeroka droga. Po obu stronach przez niemal 3 km przysiadły w ogrodach wiejskie chałupy. Niektóre drewniane, kryte strzechami, podparte chlewikami i obrókami — to pozostałość niemal zapomnianych już w pamięci ludzkiej czasów. Znaczna większość to domy murowane, dachy błyszczą blachą lub

# OSADA LUDZI PRAWORZĄDNYCH

WŁODZIMIERZ ŁOZIŃSKI

PRZEROSŁ to naprawdę dziwna i chyba wyjątkowa wieś. Nie wieś nawet, lecz osada, miasteczko z rynkiem, skwerkiem i kilkoma ulicami mającymi, rzecz jasna, swoje nazwy.

Leży sobie ta Przerośl na północno-zachodnim krańcu powiatu suwalskiego, z dala od wszelkich szlaków komunikacyjnych, blisko za to granicy. Przed wojną do granicy Prus Wschodnich można było stąd niemal kamieniem dorzucić. Teraz zaczyna się tam powiat goldapski, odległy jednak — w sensie kontaktów — z powodu granicznych jezior, które nieprzerwanie, niczym serdelowe kiełbaski ciągną się z północy na południe tworząc przepiękny szlak kajakowy.

Przerośl ma wszelkie atrybuty małego miasteczka: radę narodową, pocztę, gminną spółdzielnię z kilkoma sklepami i restauracją, przychodnię lekarską, bibliotekę i świetlicę. Nie ma tylko posterunku MO! Dziwnie. Wieś jest duża osadą z wszystkimi przysługującymi jej prawami i obowiązkami, a nie ma w niej umundurowanych rzeczników porządku. Sklepy sprzedają wódkę, knajpa, szczególnie w dni targowe, osiąga ponadplanowe obroty, a milicjanta nie widziano tu od dawna. Jak to wytłumaczyć, jak pojać?

Ułatwił mi to, w pewnym stopniu kierownik miejscowej świetlicy, Józef Podziwski. Jest to mój stary znajomy z występów popularnego w Białostocczyźnie zespołu artystycznego „Suwalszczyzna”, w którym pełni funkcję konferansjera i ludowego gawędziarza. Ma ku temu wszelkie warunki: urodził się na Suwalszczyźnie i w ciągu swojego życia zebrał dziesiątki najpiękniejszych legend tej ziemi. Jest też „żywą kroniką” wydarzeń okolicznych wsi od czasów pierwszej wojny światowej. Otóż na początku lat dwudziestych uruchodził gimnasty w Przerośli otrzymał zarządzenie w sprawie założenia „ko-

zy” czyli aresztu. Tymczasowo, z braku policji, decyzja kogo należało osadzić w kozie miała spoczywać w rękach wójta. Ponieważ jednak wójt był tutejszym człowiekiem i wszelkie spory załatwiał po staremu, na zasadzie sąsiedzkiej perswazji, kosa przez dłuższy czas stała pusta.

Kiedyś wszakże pewnej wdowie z dorodną córką na wydaniu spłonął dom. Gromada, jak zawsze w takim nieszczęściu uradziła, że do czasu odbudowy wdowa powinna zamieszkać w chacie zakrystiana, starego samotnika, dysponującego kilkoma pokojami. Obie strony na to przystały. Zakrystian był jednak człowiekiem żelaznych zasad chrześcijańskich. Nie mógł ścierpieć tego, że do pięknej panny przychodzi załotnicy i że spędzają z nią sam na sam wiele godzin. Długo wyrzekał na tę „rozpusztę”, zanosił modły na intencję zachowania dziewictwa panny, aż w końcu nie wytrzymał, tobołki kobiet wyrzucił przez okno i zamknął im drzwi chałupy przed nosem.

Bezdomna wdowa poszła ze skargą do wójta, człowieka czulego na ludzkie nieszczęścia. Wzburzony wójt przypomniał sobie o swych policyjnych uprawnieniach, wezwał gminnego dozorcę i razem z nim przeprowadził ceremonię osadzenia zakrystianina w kozie.

Prawdziwa tragedia zaczęła się jednak dopiero teraz. Dewotki, których nigdzie nie brak, stanęły po stronie aresztowanego. Interweniowały u księdza i kilkakrotnie szturmowały kozę. Nie wiadomo, czy nie ukamienowałyby wójta, gdyby nie to, że znalazł on poparcie przede wszystkim wśród męskiej młodzieży, czulej na wdzięki pięknej dziewczyny i gotowej przeciwstawić się tradycyjnym normom moralnym. Historyczne rozruchy zakończyły

(Dokończenie na str. 11)

eternitem. Niektóre przypominają podmiejskie wille — z ganeczkami, balkonami, werandami, opasane wielokolorowymi pasami jesiennych kwiatów. Prawie połowa działek otoczona jest drucianymi siatkami na cementowej podmurówce. Straż pożarna mieści się jeszcze w małym, drewnianym baraczkach, ale niemal naprzeciw zlewni mleka ma już ładne, murowane pomieszczenie. Tuż obok drewniana suszarnia tytoniu stoi niezwykła — wszystkie korzystają już z nowej, murowanej, bezpiecznej. Na wszystkich dachach anteny radiowe, na trzech nawet telewizyjne, mimo że i do Lublina, i do Lwowa daleko. Szeroka polna jeszcze droga na dworzec kolejowy przeżywa swoją ostatnią jesień życia. Na wiosnę położą tu bruk, oświetlą jarzeniówkami. Niemal w każdej stodole warczy silnik elektryczny młocarni czy siewczarni. W mieszkaniach — niemal już wszystkich — nowe meble, nierzadko parkiety, czasem dywany. W szerokich oknach nylonowe firanki. Obok starszych kobiet w roboczych, gumowych butach, kołyszą zgrabnymi biodrami i ufryzowanymi głowami młode dziewczęta. Nawet stara, potężna brzoza, wygięta w poprzek nad całą drogą, szumi inaczej niż przed laty.

To jest właśnie trzecie zwycięstwo Bodaczowa. Inne warunki życia, inny poziom życia, inny rodzaj pracy, inne osiągnięcia. Tylko Gminna Rada Narodowa po staremu mieści się w drewnianej, nieco pochylonej ze starości chałupie, która przycupnęła na wysokim brzegu rzeki Swinki. Bodaczowska ziemia ciągnie się jednak dalej, po drugiej stronie brzegu, aby po kilkaset metrów urwać się w nurcie dużo już szerszego Wieprza, niemal u wrót rozbudowanej w ostatnich latach cukrowni. Cukrownia leży w Klemensowie. Ale razem z bodaczowską fabryką daje ludziom pracę i pieniądze, zmienia ich życie, daje start do jutra.

Od 7 lat przewodniczącym GRN jest Paweł Poźdźk. Spalona wiatrem twarz człowieka, który tu spędził niemal całe swoje życie, ożywia się, gdy mówię o dniu jutrzejszym:

— Przez 20 lat okresu międzywojennego tylko jeden chłopak z Bodaczowa skończył studia wyższe, jeden

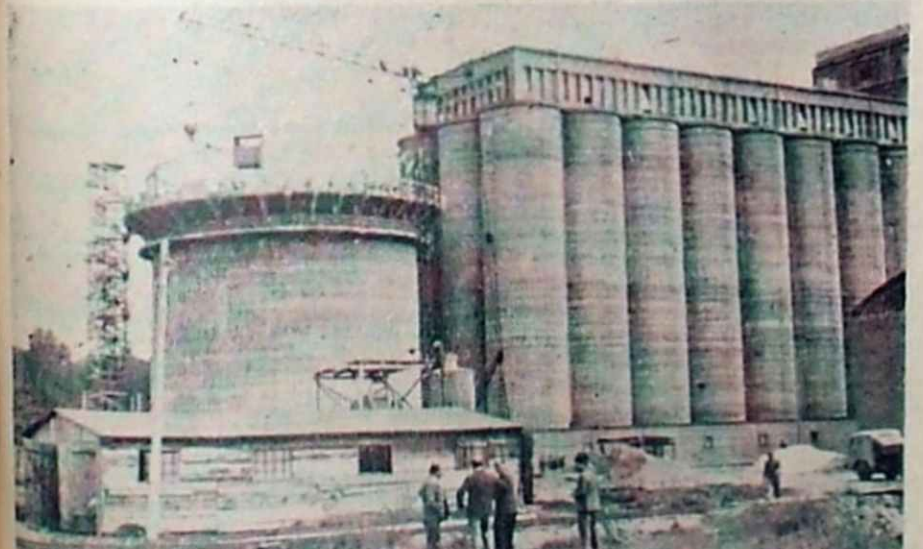
średnie. To był olbrzymi wysiłek dla całych rodzin. Przez 19 lat Polski Ludowej...

Poźdźk kolejno zgina palce i liczy, liczy...

— Ponad 50 ukończyło studia wyższe, 20 studuje. Ilu jest w szkołach średnich — już mi się pomyliło. Moja córka w tym roku skończyła medycynę w Lublinie, wyszła za inżyniera i oboje pracują w Przemysłu. Panie — powiada — przed wojną nawet mi się nie śniło, że może być coś takiego. Mamy we wsi ponad 70 motocykli, i taksówkę samochodową, kilku rolnicze dorobiło się 3 traktorów, indywidualni też mają 3, silników elektrycznych chyba ze 200. Co za czasy, co za czasy... Przed wojną tylko hrabia miał jeden traktor i dwa samochody. Jego plenipotent do lasów w Zwierzyńcu brał co miesiąc 15 tys. zł — niemal tyle, co zarabiała cała wieś. A teraz my w czynnie społecznym dajemy pół miliona na budowę szkoły, podatki, dostawy zboża, zbiórki na szkoły i PZU wykonaliśmy już za cały rok. Czy pan wie — 250 ludzi stale pracuje w fabryce margaryny, 30 w cukrowni, nie licząc tych, co idą tylko na kampanię. Nasza szkoła będzie najpiękniejsza w powiecie, dajemy stosunkowo najwięcej mleka w całym powiecie, mamy przeciętne wysłodki z cukrowni i makuchy z fabryki. To trudno wszystko powiedzieć, ale przecie sam pan widzi...

— Aha — przypomina sobie jeszcze przewodniczący — mamy jeszcze dwie biblioteki, gminną i fabryczną, czytających nie brakuje. Fabryka daje świetlicę, gdy tylko potrzebujemy, ale pewnie za rok trzeba będzie myśleć o własnym domu kultury. Listonosz narzeka, że coraz trudniej dźwigać mu tyle gazet i czasopism. Tylko jakoś żadnego zespołu nie możemy się dorobić, ale w kinie zawsze pełno, a gdy w Zamościu lub Szczebrzeszynie jakiś ciekawsza impreza, przynajmniej 50 motocykli wyjeżdża rządkiem. Tylko jeżdżą jak wariaty, chociaż — trzeba by odpuścić — nikomu jeszcze nic się nie stało...

Szosa co pół godziny pedzą autobusy, na przystanku ruch od wczesnego ranka. Ciężarówka do fabryki i cukrowni mijają się z gwizdem, sapia umęczone lokomotywy...



Silosy w Bodaczowie



# Z LUDU WYROŚLA

(Dokończenie ze str. 1)

ki — w latach okupacji jeden z organizatorów i dowódców Gwardii Ludowej w Warszawie, jak ranny w obronie Narwi Andrzej Flis, późniejszy dowódca Brygady AL Ziemi Lubelskiej, dzisiejszy podpułkownik, jak Józef Sobiesiak — późniejszy dowódca polsko-radzieckiej brygady partyzanckiej na Polesiu i w Kieleckiem, dzisiejszy generał brygady. Wtedy także padł w boju pod Oltarzewem w walce z najeźdźcą lubelski rewolucjonista Marian Buczek. Świetnie spisali się rezerwiści z Lubelszczyzny walczący w brygadzie zmotoryzowanej na szlaku od Podhala po Lwów, jak kapral Dziechciarz, który ze swego działka przeciwpancernego w dniu 2 września rozbił 7 czołgów i trwał przy działku do ostatniej chwili, dopóki nie wgniotły go w ziemię czołgowe gaszenie. Tak samo imponujące były bojowe wyczyny kawalerzystów z Wołyńskiej Brygady Kawalerii, która 1 września zatrzymała pod Mokrym, koło Częstochowy, marsz 4 dywizji pancernej gen. Reinhardta, brygady, w której uczył się walczyć jeden z najsławniejszych dowódców BCH — Stanisław Basaj — późniejszy „Rys” — dowódca partyzanckiego batalionu. Z upartego, dwudniowego boju pod Borową Górą wyszedł kpt. Wilhelm Szczepankiewicz, w latach okupacji komendant tomaszowskiego Obwodu AK — ppik „Drugak”. Wtedy też stracił w boju rękę rodak z Lublina, dzisiejszy generalny kwatermistrz Wojska Polskiego — gen. Wiktor Ziemiński, ówczesny podporucznik 14 pułku ulanów. W tym również czasie zapisał na swym koncie pierwsze zestrzelenie samolotów wroga podporucznik myśliwskiego lotnictwa, a dzisiejszy podpułkownik Witold Łokuciewski, jeden z dowódców słynnego „Dywizjonu 303”, związany z Lublinem rodzinnymi więzami.

Można by te przykłady mnożyć jeszcze długo, bardzo długo, zobaczymy jednak, jak ta sama Lubelszczyzna wplotła się w nurt walki wyzwolenczej w latach okupacji. W szeregach podziemnych organizacji stanęło wówczas 120.000 mieszkańców miast i wsi, zarządców b. rezerwistów i żołnierzy Września, jak też zawsze ofiarne młodzieży i dzielnych kobiet. Siły te trwały w powstaniu na Lubelszczyźnie kilkadziesiąt tysięcy wojska i sił policyjnych, zadały wrogowi straty idące w grube tysiące ludzi i wprost niewymierne ilości wojennych materiałów. Siły podziemia na Lubelszczyźnie stoczyły największe partyzanckie bitwy — w lasach janowskich, Puszczy Solińskiej, lasach parczewskich i pod Rąbłowem, w których hitlerowcy musieli angażować po kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Tu wreszcie, na Lubelszczyźnie, ruch partyzancki przerodził się dwukrotnie w powstanie narodowe, jak w lutym 1943 roku w uwięzionej Zamieszczyźnie i w ostatniej dekadzie lipca 1944 roku — w całym Lubelskiem. To ostatnie powstanie, do tej pory nie zdefiniowane w historii, czeka jeszcze na oświetlenie, przecież jednak związane z nim wydarzenia również weszły do bojowych tradycji Wojska Polskiego, a jego uczestnicy zasilili wojskowe kadry. Z pomiędzy partyzanckich dowódców działających na Lubelszczyźnie wyszli dzisiejsi generałowie, jak weteran wojny hiszpańskiej Grzegorz Korczyński, działacz rewolucyjny Mieczysław Moczar i żołnierz Września Jan Wyderkowski. I w tej dziedzinie trudno byłoby wyliczyć cały wkład, jaki w nurcie partyzanckich walk wniosła Lubelszczyzna w historyczny dorobek i organizację Wojska Polskiego.

Nie zabrakło podobnego wkładu w dzieło organizacji i walki I Armii i jej sztabowej jednostki — 1 Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki,

której udział w bitwie pod Lenino obchodziliśmy jako Dzień Wojska Polskiego. Synowie Lubelszczyzny stanęli pod narodowym sztandarem do walki o wolność Ojczyzny, daleko od rodzinnej ziemi, na którą powrócili po zakończeniu działań wojennych. Chyba nie ma na Lubelszczyźnie takiego powiatu, który nie byłby reprezentowany w kadrach samej tylko choćby 1 Dywizji w momencie bitwy pod Lenino. Dla przekonania się o tym weźmy kilka powiatów na chybił trafił: z powiatu chełmskiego walczyli pod Lenino: Eugeniusz Obibok i Kazimierz Zakrawacz, a Muryś Bark zginął w tej bitwie, podobnie jak w 1939 roku jego brat Wulf, w Borach Tucholskich; z powiatu hrubieszowskiego: weteran z kampanii wrześniowej Kazimierz Obierski, Stefan Jakubiak, Stanisław Harasimczyk, Andrzej Wójcik, Józef Twardowski i Feliks Ciechocki, a jeden z hrubieszowianów również poległ w bitwie; z powiatu zamojskiego: Bronisław Turzański i Czesław Dziuba; z powiatu lukowskiego: Bogdan Wójcowski, późniejszy żołnierz II Armii itd., itd. Z daleka zaczęli swój marsz do Ojczyzny, doszli jednak do niej i na gruzach Berlina zatknęli sztandar zwycięstwa.

Osobne, świetne karty ma Lubelszczyzna w księgach opisujących bojowy szlak II Armii. W dwóch trzecich jej żołnierze to młodzież Lubelszczyzny, ta sama, która w latach okupacji bohatersko atakowała hitlerowskie transporty i oddziały pacyfikacyjne, w szeregach AL, BCH i AK. Dywizje — 7 i 8, które za Nysą toczyły krwawe walki z pancerną armią Schörnera, prawie w całości składały się z synów Ziemi Lubelskiej. Kilka tysięcy tych żołnierzy okupiło ostateczne zwycięstwo własnym życiem, krwią pisząc akt narodowego wyzwolenia.

Nie inaczej reprezentowane jest Lubelskie w zbrojnym wysiłku żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Jako szeregowiec Karpackiej Brygady walczył w piaskach Libii Stanisław Kopiński z Dubienki, pod Monte Casino bili się: Józef Dańczuk z Horodla,

Józef Borkowski z Tomaszowa, Antoni Frankiewicz z Zamościa, Zygmunt Wołosz z Białej pod Radzymiem i dziesiątki innych. Jan Parol z Czartowczyka przeszedł inwazję na Francję, jako żołnierz i Dywizji Pancernie. W dywizji tej walczyło sporo b. żołnierzy 24 zmotoryzowanego pułku ulanów z Krasnika, do którego po wojnie powrócili, wnosząc swe tradycje bojowe do ogólnej sumy wydarzeń, jakie rozpaniętujemy w Dniu Wojska Polskiego.

W szczególny sposób zespolił bojowe tradycje oręża Stanisław Rajtak z Rachnów. W roku 1939 przebywał na emigracji w Argentynie, skąd powrócił do Francji i zaciągnął się do 2 Dywizji Strzelców armii gen. Sikorskiego. Walczy w obronie Francji, a po jej upadku ucieka z niemieckiej niewoli i przedostaje się w rodzinny powiat tomaszowski, gdzie wstępuje do partyzanckiego oddziału BCH „Jaskółki”, w którym z czasem zostaje zastępcą dowódcy.

Wśród tysięcy żołnierzy z Lubelszczyzny, którzy wnieśli wkład w budowę Wojska Polskiego i ustalenie jego bojowych tradycji, nie zabrakło ochotników międzynarodowych brygad w Hiszpanii, jak wspomniany gen. Korczyński, poległ w partyzantce Jan Sławiński, Józef Spiro czy Władysław Głuchowski, lub żyjący do dziś Antoni Dudek z Zamościa — żołnierz XIII Brygady, lub Stanisław Stala z pow. lukowskiego — niegdyś ochotnik XV Brygady Międzynarodowej. Nie zabrakło też starych bojowników Rewolucji Październikowej, żołnierzy Armii Czerwonej i oddziałów radzieckiej partyzantki.

Wyliczyć ich wszystkich nie ma sposobu, poprzestańmy więc na tym, że ogarniemy myślą ten ogromny obraz historyczny i stwierdzimy: nasza to, ludowa armia obchodzi swą XX rocznicę, a w jej istnieniu zamyka się cała tradycja walk, jakie naród polski toczył przez długie lata. To armia z mas ludowych wyrosła.

Leszek Siemion

## NA NASZYM ZACHODZIE

**L**ATEM ubiegłego roku jechałem z Lublina do Koszalina z zakochaną... w swoim miesiące studentka, która od trzech lat spędza jeden miesiąc wakacji w Słupsku i Uście.

— Lublin jest przytulnym miastem, z każdym miesiącem coraz piękniejszym, ale latem nie sposób w nim wytrzymać ani godziny. Po prostu pustożę, wyparowuje zeń ten zapach, aromat właściwy mu przez większość miesięcy roku. Te atmosfery odnajdują latem w Słupsku i nie mogą się powstrzymać od spędzenia w nim części studenckich ferii wakacyjnych.

Nie znam Słupska i prawie całą trasę Lublin — Słupsk wypełniłyśmy z konieczności sporami na temat „europejskości” dobrze nam obojgu znanego miasta: „europejskości”, która większość jego mieszkańców widzi w rozmachu urbanistycznych przeobrażeń, architektonicznej mozaice nowych dzielnic, rozgwarze kawiarnianym „Tip-top”, „Czarnej Lapy”, melancholii mikroskopijnej „Ewy” i dostojno — snobistycznym gremium wypełniającym najszybciej w godzinach pracy wszystkie kąty „Lublinianki”!

W odblasku łuny pożaru, który wybuchł owej nocy w Słupsku, wzrok spoczął na kolejowym wizerunku miasta i czystej, solidnej kostce peronowej.

Atoli po kilku miesiącach spędziłem w tym mieście parę tygodni. Poznałem ludzi przy urzędniczym biurku, kawiarnianym stoliku i przed sklepową ladą, wdzierałem się pod podszewkę miasta. Z pewnością to wdzieranie się nie miało nic wspólnego z naukowo-socjologicznym „rozgrzaniem” problemów słupskiego obywatela. Uzbrojony li tylko we wrażliwość i zmysł obserwacji fotografowałem na własnej kliszy fakty słupskiego dnia. Bardzo mi się podobał, ponieważ nie można o nim powiedzieć „dzien jak co dzień”.

Jeden ze znanych koryfeuszów publicystycznych centralnego tygodnika napisał kiedyś, że kwestia podobania się lub niepodobania zależy od bardzo wielu rzeczy: od nastroju, żołądka, zębów, wątroby, głodu — i w dowód prawdziwości swej opinii przytaczał,

jak Turgieniew jadąc w towarzystwie przepięknej damy i wdychając zapach jej włosów, kiedy nachyliła się ku niemu, zachwycił się czyjąś nowelką, którą później uznał za okropne skądinąd. Niewątpliwie ów publicysta ma sporo racji. Turgieniew był inteligentnym pisarzem, a w czasach, kiedy on żył i podróżował, konwenans był nie tylko w modzie — ściśle go też przestrzegano. Ale gdy się ma chociaż trochę zmysłu przekory i aparat nastawiony wybitnie na fotografowanie faktów, kiedy nie dokuczają zęby ani wątroba, miasto i jego codzienność można uchwytać mniej więcej takimi, jakimi są.

Słupsk jest piękny i jego mieszkańcy czują się jak „malo-paryżanie” nie tylko chyba dlatego, że mają Sektwanę zwaną tam Słupią z jej mostami, Pola Elizejskie — zwane Alejami Wojska Polskiego, Lasek Bulońskie — zwaną Laskiem Północnym lub Południowym. Piękny jest poprzez swoją kontrastowość społeczeństwa, ludzi głęboko i poważnie zamyślonych nad jego codziennością i przyszłością.

Piękny jest dzięki miłym i przytulnym „Franciszkonom” i „Karysowi”, rozbrzmiewającym naprzemiennie gwarem, ściszoną tonem intymnym zwie rzem i muzyką. W Słupsku spotyka się rzadkie w obecnej dobie okazy kelnerów nachylających się nad stołem i nieśmiało wyważających: „pomidorowa dziś nam się przypaliła, radzę państwu zamówić barszczyk z pasztecikiem”. Owszem są i tacy, którzy uprzejmie wykrzykują: „już dla państwa, wszystko dla państwa” i zjawiają się przy stoliku po pół godziny. Rozjaśnia twarz uprzejmość paniątek z międzyimastowej, centrali PPRN, ekspedientek w sklepach. Nawet w zamasztywym pociągnięciu brzytwą fruzjera i lurowskim akcencie urzędnika rady narodowej jest coś niezwykłe miłego, egzotycznego i bardzo nastrojowego. Uderza wrażliwość władz na skargi mieszkańców, ich przedsiębiorczość, styl pracy. W żadnym mieście funkcjonariusz MO nie życzył mi dobrej nocy po sprawdzeniu dokumentów. A w Słupsku...? Nie przypuszczam, aby jego przeciwność wywołała li tylko uśmiechnięta buzia rozbawionej dziewczyny. Zastanawiała mnie spontaniczność ofiary własnej krwi dla osób, które uległy katastrofie pod Wiekowem. Smuciła trochę obojętność mieszkańców na widok garbatych jeździ i chodników. W rozmowie nie poruszałem tematu „społeczności” województwa. Osobiście uważam, iż Słupsk zupełnie nie chce wygrać na tym, że nie stał się stolikiem województwa. Ustrzegł się, jak wiele

## WIELKIE ZADANIE — WIELKI TEMAT

(Dokończenie ze str. 4)

oza respektowania przywilejów uczących się pracowników przez administrację zakładów pracy. Dokonywać tego winny właśnie rady zakładowe.

Jest całkiem zrozumiałe i godne pełnej aprobaty, że uchwały Prezydium CRZZ o zadaniach związków zawodowych w rozwoju studiów dla pracujących wytyczyły słuszną linię postępowania, niemniej realizacja tych wytycznych pozostaje — a w wielu wypadkach niestety pozostaje — martwą literą, jeśli jej nie poprze konkretna działalność w poszczególnych zakładach pracy. Niebagatelną wydaje nam się też sprawa ogólnego klimatu, przychylnego atmosfery i zrozumienia w całym społeczeństwie dla ambitnych decyzji podjętych przez ludzi, którzy biorą na siebie dodatkowy trud pogłębiania swej wiedzy zawodowej, pomnażającej w ogólnym bilansie ogólnonarodowy dorobek gospodarczy i kulturalny.

W zrozumieniu tych ambitnych decyzji ludzi pracy zawodowej, Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego przyspiesza obecnie prace nad ulepszeniem programów nauczania i poprawą jakości studiów. Opracowano już plan wydawania pomocy naukowych, materiałów pomocniczych i poradników metodycznych. Uczelnie prowadzące studia dla pracujących zapewniły stałą pomoc ze strony samodzielną przy-

jemu podobnych miast w kraju (Gorzów, Przemyśl, Radom), dezintegracji obyczajowej, zachował swój klimat i kształt miasta o tak łatwo wyczuwalnym pulsie.

Czy Słupsk jest miastem europejskim czy nie? To nieważne (jeden z kolegów — dziennikarz „Głosu Koszalińskiego” — uznał je za takie, gdy mu w biały dzień wyciągnięto z aktówki jakiś najprzedniejszy koniak francuski). Słupsk jest słupskimi i rasowym miastem ze względu na zgrabną społeczność pasującą do niego i czującą się w nim jak w żadnym innym — miastem kontrastu obyczajowego, ale nie zdeintegrowanym. Pije samotnie za jego lekko wyczuwalny snobizm.

Piotr Goch

cowników nauki, skierowując do pracy nieodzowną liczbę wykładowców i wybitnych specjalistów-praktyków. Dziekanaty wyższych uczelni oraz organizacje społeczne działające na ich terenie wychodzą z inicjatywą organizowania pomocy studiującym pracownikom w formie dodatkowych konsultacji, porad, korepetycji, zaopatrywania w potrzebne podręczniki i skrypty oraz umacniania stałej więzi z zakładami pracy. Dodać jeszcze należy, że Prezydium CRZZ weszło niedawno również w porozumienie ze Zrzeszeniem Studentów Polskich. Podjęto uchwałę określającą kierunki umacniania łączności młodzieży studiującej z zakładami pracy, z uwzględnieniem problemów praktyki i stażów pracy oraz stypendiów. Podjęto przy tym decyzję o współpracy w dziedzinie społeczno-oświatowej, wychowawczej, w organizowaniu wypoczynku, sportu i turystyki.

Wspomniane tu pokrótce poczynania w zakresie szkolnictwa wyższego dla ludzi pracujących zawodowo świadczą niewątpliwie o wielkiej koncentracji inicjatyw i środków w celu skutecznego zrealizowania postulatów wysuniętych przez XI Plenum KC PZPR. Zadanie to przecież niełatwe, wymagające olbrzymich wysiłków, nakładów pracy i kosztów. Może właśnie dlatego zasługuje na stałą uwagę i zainteresowanie ze strony naszej prasy, naszej publicystyki. Bogate i żywotne problemy wynikające z tych rozległych prób czynione na obszarze całej Polski, powinny znaleźć swój wyraz także w radio i telewizji.

Wielkie zadanie i wielki temat.

Jerzy Gembicki

## KSIAŻKI NADESLANE

PRZEZ PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

Stefan Melkowski — Poglądy estetyczne i działalność krytyczno-literacka Bolesława Prusa, Warszawa, 1962, wydanie pierwsze.  
Bolesław Prus — Kroniki, tom trzynasty, opracował Zygmunt Szwedkowski, Warszawa, 1962, wydanie pierwsze.  
Włodzimierz Tiendziak — Krótkie spłecie, przekazała Krystyna Latonowa, Warszawa 1963, wydanie pierwsze.  
Wiktor Woroszyński — Sny pod śniegiem. Opowieść o życiu Michała Sołtykowskiego-Szczedrina, Warszawa 1963, wydanie pierwsze.  
Borys Jampolski — Trzy wiosny, przekazała Zofia Korczak-Zawadzka, Warszawa, 1962, wydanie pierwsze.  
Tadeusz Zelenki Boy — Flirt z Melpomeną, wciórót trzeci i czwarty, Warszawa 1962, wydanie pierwsze.



# BIĄŁOSTOCKIE ŚRODOWISKO PLASTYCZNE

IRENEUSZ JAN KAMIŃSKI

Z TWÓRCZOŚCIĄ plastyków białostockich zetknęliśmy się po raz pierwszy na wystawie czterech wschodnich województw zainaugurowanej w Lublinie w kwietniu br. Była to jednak znajomość przelotna, krótkotrwała i właściwie do dziś nie znamy środowiska plastycznego Białegostoku, jego osiągnięć twórczych i sytuacji organizacyjno-bytowej.

Artykuł ten ma więc charakter informacyjny, mimo że nie pretenduje do wyczerpującego rozpatrzenia wszystkich zagadnień związanych z działalnością białostockiego okręgu Związku Polskich Artystów Plastyków. Dopiero w roku ubiegłym Związek plastyków w Białymstoku uzyskał prawa okręgu; do tego momentu pozostawał oddziałem skupiającym niewielu ponad 20 członków. W przeciągu kilkunastu miesięcy liczba ta wzrosła do 37, co miało niewątpliwie wpływ na ożywienie pracy Związku, zwiększenie ilości wystaw z dwu rocznie do kilkunastu obecnie.

Mówiąc o wystawach napotykałyśmy pierwszą bolączką utrudniającą szerzej pomyślaną działalność Związku: na brak sal wystawowych spełniających warunki tego typu pomieszczenia — odpowiednio duży metraż, dogodny i uczęszczany punkt miasta.

Związkowe wystawy okręgowe odbywają się w Muzeum Miejskim, które wypożycza kilka salek o co najmniej niewystarczającym oświetleniu, inne ekspozycje, wśród nich indywidualne, udostępnia się publiczności w nader skromnym pomieszczeniu o wymiarach 7x4 m, w którym na honorowym miejscu stoi biurko sekretarki Związku i paki z obrazami, bo wiedzieć należy, że pokój ten spełnia zarazem funkcję siedziby władz Związku i magazynu, a wszelkie starania i prośby o salę ekspozycyjną z prawdziwego zdarzenia nie doczekają się realizacji wcześniej niż za lat kilka.

Ze sytuacja ta nie sprzyja wytworzeniu odpowiedniego klimatu twórczego, udowodniać nie potrzeba, chciałbym jednak zwrócić uwagę na inny jej aspekt, o charakterze socjologicznym, związany z urozmaiconym profilem społeczeństwa Białegostoku.

Ludność miasta stanowi przedziwny konglomerat warstw społecznych ze znacznym odsetkiem napływowego elementu wiejskiego, którego poziom kulturalny wymaga nieustannej pracy władz oświatowych i placówek kulturalnych. Ludzie przybywający ze wsi dość szybko asymilują się w środowisku miejskim, lecz nawyki i upodobania „estetyczne” pozostają. Stąd przeróżne obrazeczki w kolorze lila-róż, odpustowe zajęcia i popiersia pyzaty i uszmiokowanych bohaterów narodowych, zapelniające wiele jeszcze mieszkań w Białymstoku. W takiej sytuacji plastycy mają szczególnie doniosłą rolę w kształtowaniu dobrego smaku człowieka stykającego się może po raz pierwszy z kulturą miasta. Zrozumiała jest rzecz, że dzieje się to przede wszystkim przy pomocy sztuki użytkowej, wewnątrz itp., ale równie oczywisty jest fakt, że sztuka użytkowa nie swarza momentu refleksji, satysfakcji głębszej i trwalszej.

Trzeba przyznać, że plastycy białostocki mają daleko idące poparcie ze strony komitetów partii i prezydów rad narodowych, lecz zarazem nie wiadać żywszego zainteresowania sztuką w społeczeństwie miasta. Aby nawiązać kontakt z widzami, sprowokować go do dialogu, należy jednak udostępnić publiczności dorobek twórcy, a bez odpowiednich sal wystawienniczych nie sposób celu tego osiągnąć.

Wspominając o opiece udzielanej plastynom ze strony władz miałem na uwadze 13 pracowni oddanych przez miasto plastynom. Obszerne i pełne światła, funkcjonalnie rozwiązane pomieszczenia umożliwiły białostockim twórcom w pełni efektywną pracę. Trzy dalsze pracownie znajdują się w trakcie budowy.

Istotnym mankamentem organizacyjnym zmuszającym działaczy ZPAP do dodatkowej pracy jest brak Biura Wystaw Artystycznych w Białymstoku. Warto zwrócić uwagę na ten fakt, ponieważ liczbą mieszkańców (ok. 130 tys.) i rosnący poziom twórczości plastycznej w pełni uzasadniają konieczność powołania wspomnianej placówki. Tak w ogólnym zarysie przedstawiają się problemy bytowe i organizacyj-

ne białostockiego środowiska plastycznego. Co do samej twórczości plastycznej, to można zauważyć większe zaangażowanie w sprawy związane ze sztuką użytkową i projektowaniem wnętrza usługowych — na niekorzyść prac sztalugowych. Nie zatrzymując się zbytnio przy tej zachwianej proporcji chciałbym jedynie wskazać na progresywność owej tendencji w skali ogólnokrajowej. Do sygnalizowanego tu zagadnienia, powrócę jeszcze w przyszłości.

Plastyka białostocka — to przede wszystkim malarstwo, grafika i szeroko pojęta sztuka użytkowa. Najbardziej charakterystycznym zjawiskiem jest całkowity brak kierunku prowadzącego o zdecydowanej dominancie jakościowej i ilościowej. Wśród tendencji mających odpowiedniki w sztuce krajowej można wyróżnić realizm syntetyczny, koloryzm oraz abstrakcję typu geometrycznego. Zdarzają się również prace łączące warsztatowe zdobycze informelu z figuratywną koncepcją całości obrazu, co możemy zaobserwować w niektórych realizacjach Jerzego Lengiewicza, którego ekspresyjna twórczość należy do najbardziej interesujących w białostockim środowisku.

Zainteresowania Lengiewicza idą w kierunku tworzenia samoistnych kompozycji fakturalnych, lecz nie one stanowią o wartości osiągnięć młodego twórcy, ale dzieła, w których odejście od figuratywności nie przekracza granicy czytelnego układu o głębokim humanistycznym podtekście. Mam na myśli [pracę zatytułowaną „Hiroshima”, jedno z płócien inspirowanych przez tragedię minionej wojny, mono-

(Dokończenie na str. 12)

## OSADA LUDZI PRAWORZĄDNYCH

(Dokończenie ze str. 9)

się spontanicznym wiecem przed urzędem gminnym, na którym obie strony wylały najpierw całą swoją gorzyc, a następnie osiągnęły porozumienie. Zakrystian opuścił kożę pod warunkiem, że przyjmie z powrotem do domu wdowę z córką i nie będzie tej ostatniej przeszkadzał w zamążpójściu. Finałem tej sprawy było, oczywiście, wesele, po którym nikt do kozy nie zawędrował. Po jakimś czasie instytucja ta wróciła do swej poprzedniej roli — gminnego schowka na opał.

Od opisanego wydarzenia minęło czterdzieści lat. Czas ten wniósł do Przerośli większość typowych przemian. Wybudowano nową szkołę, dziesięciokilometrową drogę łączącą osadę z szerokim światem, wybrukowano ulice, zainstalowano elektryczne światło i założono spółdzielczy ośrodek zdrowia z wszelkimi urządzeniami dla internisty i stomatologa. Jeśli w procesie tego rozwoju wyróżniło coś Przerośl spośród setek innych osiedli, to chyba przede wszystkim inicjatywa samych mieszkańców. Wymienione inwestycje są bowiem rezultatem składek pieniężnych i bezpośredniej pracy przeroślan.

W Przerośli obok biblioteki istnieje kawiarenka. Powstała jak większość tutejszych dużych inwestycji. Jakiś nauczyciel przyniósł ezajnik, wielu podarowało szklanki, łyżeczki. Parzeniem kawy zajęła się bezinteresownie bibliotekarka, Jadwiga Tyczeńska. Oto i wszystko. Jest gdzie spędzać zimowe wieczory, podejmować pisarzy. W kawiarence sprzedaje się również książki. W zeszłym roku „poszło” ich za pięć tysięcy złotych, nie licząc nabywanych w suwalskiej księgarni. W kilku zwykłych chatkach oglądałem zresztą wielotomowe biblioteki o przewadze książek rolniczych. Przeroślanie mają zatem pożyteczne hobby, które chroni ich przed pospolitymi występkami.

Jednakże najważniejszym źródłem praworządności życia przeroślan jest, moim zdaniem, prawie zupełny brak migracji ludności. Owszem, część młodzieży wyjeżdża do liceów, na studia. Niewielu potem wraca. Rzadko przyjeżdżają tu jednak obcy. W rezultacie wszyscy są tutaj znają i to od kilku pokoleń, są z sobą po imieniu. Wszystko to stwarza rodzinny klimat, ale kożystny klimat, w którym opinia sąsiada więcej znaczy, niż pisane prawo.

— Żyje się u nas jak w rodzinie — mówił mi Henryk Zienda, człowiek, który kieruje pracą czterdziestoduosobowej organizacji partyjnej i równocześnie zarządza spółdzielnią zdrowia.

## Chemia uczeiwości

**P**RASA doniosła, że granatowo przyodziani panowie wracają na swoje dawne posterunki. Tym razem odmłodzeni, bo jak wynika z dalszych enuncjacji, nie będą do funkcjonariusze u progu emerytury, ale osłki zdolne stanąć na wysokości zadania.

Trochę martwi ta wiadomość, choć PKP motywuje swój krok bardzo rzeczowo: wzrosła liczba pasażerów bez biletu, w lokalach dworzecowych pojawiło się sporo pijaków i awanturników, forsujących wejście bez tekturki zwanej peronówką. Tekturka, a potrafi być probierzem uczeiwości. Martwią jednak nie tyle powierzchowne fakty, co jądro zjawiska. Choćby to było tylko wycofanie się na z góry upatrzone pozycje przed przyszytym atakiem, przecież reaktywowanie biletów kolejarzy oznacza porażkę w batalii o uczciwe oblicze podróznego. Czy tylko podróznego?

Jeżeli nie jedziemy do Włoszczowy albo Lubartowa, to na pewno wchodzimy do SAM. Tam giną tabliczki czekolady, paczuszki kawy lub zgoła cukierków. A jeśli omijamy SAM, to zdarza nam się jadać w barach szybkiej obsługi. Tu znów przepadają noże. Niekiedy chcemy telefonować z ulicznego automatu, by stwierdzić, że nie jest dane naszej chęci zamienić się w czyn, bo jakaś siła tajemna uniosła słuchawkę w nieznane, lub w najlepszym razie pokasała spis abonentów. I tak to anegdotyczne powiedzonko z carskiej Rosji, że wszystkiemu ziu winni są Żydzi, studenci i cykliści odradza się przyoblekisz postać swojskich podrózników, konsumentów i kupujących. Kolej, jak to kolej. Oparta na półwojskowym reżimie, śmiało przywróciła status quo. Przedtem próbowała coś niecoś gastronomia, prezentując profilaktykę ucietych końców noża, ale zgromiona przez podrażnioną opinię publiczną data spokój. SAM nie wycofała się, bo operacja byłaby zbyt kosztowna, poczta zaś, cierpliwie reperuje telefony, przytroczaając się z wolna do swego losu.

Wielu domorostych socjologów łamie sobie głowę, jak to jest z polską uczeiwością, i wzdycha do idealnej, skandynawskiej. No cóż, nie jest dobrze, zaś — jak się to maowia — korzenie sięgają głęboko. Przed wojną w tak zwanych najlepszych sferach zdarzało się spotkać panów namiętnie uprawiających kolekcjonerstwo, którego przedmiotem były firmowe popielniczki wynoszone z lokali. Dziś statystyka kleptomani uprawianej w SAM łapie na gorącym uczynku lekarzy, prawników, dziennikarzy, nie mówiąc o przedstawicielach mniej eksponowanych zawodów. Skąd się to bierze? Ba, żeby kto wiedział. Dopóki istnieją nakazy, ludzie chodzą karnie jak planety po swych orbitach. Gdy ręka bierze towar od sprzedawcy, kora mózgowa trwa w upieniu, ale gdy można sięgnąć samemu na półkę, w utartym schemacie działania dochodzi do zakłóceń. W oczach pojawia się chytry błysk, uda się czy się nie uda? Na dnie tych spekulacji leży co prawda chęć zaoszczędzenia paru groszy, lecz przecież nie ona decyduje, skoro tabliczka czekolady wędruje nielegalnie raz do kieszeni biednego studenta, a raz dobrze sytuowanego lekarza.

Bezsilni badacze zjawiska po siódmych potach dochodzą do odkrycia, że ogólna kultura nie nadąża za rozwojem techniki i nowymi formami organizacji życia codziennego. W tym stwierdzeniu można dopatrzeć się szczypty optymizmu. Nowe formy organizacji życia rozwijają się, a kultura nie nadąża, znaczący to przecież, że i ona nie stoi w miejscu. Nienadążanie to nie to samo co zastój. Przeciwnie — to ruch, choć względnie opóźniony. Jeżeli wczoraj masowo deptaliśmy trawniki — dziś depczemy rzadziej. Jeśli wczoraj kraśliśmy co drugą żarówkę na klatce schodowej, dziś los ten dzieli, powiedzmy, co czwarta. Dlaczego? Może po prostu coraz więcej ludzi woli zieleń trawy niż łysin wydeptane nogą homo sapiens, podobnie jak najgłupszy egzemplarz tego gatunku rozkwasiwszy twarz na nieoświetlonych schodach zaczyna bardziej cenić żarówkę świecącą pro publico bono niż tę samą przywalaszczoną przeważnie bez istotnej potrzeby. Ze czasem odnosimy porażki, czego dowodem przywrócenie granatowo przyodzianym panom ich prawa do dziurkowania biletów? Wszystko zależy od punktu widzenia. Może to nie porażka, tylko zwykła laboratoryjna próba czy związek zwany społeczeństwem stał się już na tyle czysty, by osiągnąć wyższy stopień syntezy. Jeszcze nie dojrzał? No to poczekamy włączysz katalizatory nakazów.

Jędrzej

To prawda. Pamiętam, na przykład, z ubiegłej zimy oszukańczy kulig, który wątpię, aby gdziekolwiek indziej mógł się udać. A było to tak. Silne mrozy osadziły ludzi w chałupach. Świętlica i kawiarnia świeciły pustką. Chcąc w jakiś sposób przezwyciężyć ów strach przed zimą, prezes GS — Czesław Dyczewski i mój znajomy — Podziwowski wpadli na pomysł urządzenia kuligu. Ponieważ obaj nie mieli koni, wzięli po prostu dzwonki w zabawie. Doktorowa, nauczycielka i rolnicy — wszyscy wychodzili w kożuchach i z kocami, a gdy przekonali się, że zostali oszukani, nie uciekali obrażeni, lecz wciągali do zabawy innych. Pomysłowy kulig zakończył się w restauracji, którą pan prezes pozwolił otworzyć, choć było już dawno po godzinach pracy.

Wiosną był natomiast, nie po raz pierwszy, zorganizowany, „Najpiękniejszy dzień Przerośli”. Dzieci szkolne zaprezentowały folklor wszystkich regionów Polski. Dorosli zaś urządzili uroczysty wjazd króla Batorego. Ważne, że w przygotowaniu uroczystości brali udział wszyscy — nauczyciele, lekarze, urzędnicy i rolnicy. Miejscowy cieśla w ciągu jednej nocy (deski przyszyły za późno) zmontował całkiem bezinteresownie wielką estradę, która do dziś służy jako podium dla tańców.

Kiedy ostatni raz byłem w Przerośli, przygotowywano się do dożynek. Mówiono mi, że uroczystość ta musi być taka, jak plany — udana. Nie miałem co do tego najmniejszej wątpliwości.

Nie sądzicie jednak, że przeroślanom upływa czas tylko na zabawach, lekturze i picie kawy. Nie, przeroślanie mają swoje pracowite dni powszednie. Poza pracą w polu zajmują się teraz budową wodociągu. Inicjatywa zrodzi-

ła się w momencie, kiedy gminna spółdzielnia uzyskała zgodę na budowę nowej piekarni. Piekarnia musi mieć wodę, a więc trzeba budować studnię artezyjską. Czemu więc nie pobydować takiej studni, żeby starczyło w niej wody dla całej osady? Jasne. Fachowcy orzekli jednak, że wodociąg wymaga dwóch studni — głównej i rezerwowej. Przeroślanie znaleźli więc w Warszawie i w Białymstoku protektoratów, którzy zgodzili się pomóc w opracowaniu dokumentacji i zakupie deficytowych materiałów. I tak oto będą mieć za jednym zamachem, i piekarnię i wodociąg. Snują im się też — realne chyba — marzenia o budowie domu kultury, z lepszą niż obecna, salą kinową i przystanią nad jeziorem.

No dobrze, ale czy to zbiorowe życie osady, w której kolektyw jest prokuratorem i sędzią postępowania każdego człowieka i w której stosunek do kolektywnych poczynań jest najwyższym kryterium prawości jednostki, nie stwarza mimo wszystko przesłanek do kolizji z normami pisanymi? Na posterunku milicji w Filipowie, gdzie odpowiedź na to pytanie ujmuje się w język urzędowych sprawozdań, nie potrafię mi przytoczyć poważnego przestępstwa popełnionego w Przerośli. To wystarczy.

Przed wyjazdem z Przerośli spotkałem miejscowego agronoma. Transportował kopaczkę ziemniaczaną do kółka rolniczego. Był zły.

— Wiesz pan, kogo powinno się posadzić do kozy? — krzyczał, wskazując kopaczkę. — Tych, co produkują takie świństwo. Wygina się przy pierwszym zetknięciu z glebą.

Kopaczka miała znak fabryczny Lubelskiej Fabryki Maszyn Rolniczych. W Przerośli produkt ten wywołał społeczne oburzenie, a u niejednego nieufność do mechanizacji. Było mi bardzo przykro.

Włodzimierz Łoziński



# PRZEGLĄD PRASY

Przeprowadzana reforma szkolna będzie wymagała wykształcenia w tempie bardzo przyspieszonym wielu tysięcy nowych nauczycieli i doskonalenia umiejętności kadry już pracującej. Szkoły stacjonarne nie podążają temu zadaniu przy obecnych swoich możliwościach. W tej sytuacji wagi szczególnej nabierają studia zaoczne. Są one masowym a dosyć takim sposobem podnoszenia kwalifikacji kadry nauczycielskiej. W roku obecnym kształcą się zaocznie 50 tysięcy nauczycieli. Jest to liczba równa liczbie wszystkich studentów szkół wyższych przed wojną, a jedna trzecia obecnej liczby studentów w szkołach wyższych. „Głos Nauczycielski” przeprowadził swego czasu dyskusję na temat studiów zaocznych. Ostatnio pismo przyniosło jej podsumowanie w artykule K. Wojciechowskiego „Nauczyciel a studia zaoczne”. Autor omawia całość zagadnień związanych z tym problemem. Postuluje m. in. wprowadzenie dużych ulg i pomocy ze strony państwa dla studiujących nauczycieli, odciążenie ich w pracy. „Bywają — pisze autor — wcale niezadane przypadki przeciążenia nauczycieli studiujących zajęciami szkolnymi, pracą społeczną, utrudniania wyjazdów na obowiązkowe konsultacje, sesje zimowe lub letnie, egzaminy”.

W tej sytuacji apeluje autor o właściwą atmosferę wokół nauczycieli studiujących, w której interesy studiu-

jących i szkoły nie będą ze sobą sprzeczne.

Jerzy Lovell podejmuje w „Życiu Literackim” nabrzmiałą zawsze sprawę ludzi starych w reportażu „Stary z zapalkami”. Pani Regina — bo takie jest imię wybranej przykładowo bohaterki — mieszka sama, nie jej do życia właściwie nie trzeba. Ale jest wyizolowana od ludzi, nie czuje się nikomu potrzebna, nie ma do kogo się odezwać, hodoje jedynie swoje kwiaty. Po śmierci męża przychodzili trochę z zakładu pracy, pomagali. Teraz... A przecież mogłaby komuś pomóc, przypilnować dziecka, z kimś się spotkać, porozmawiać. Lovell śledzi wiernie sytuację samotnego starego człowieka. Kto ma się nim zająć, pomóc mu? Sąsiedzi, zwykle ludzie młodzi mają swoje sprawy, swoje kłopoty. Więc instytucje? Autor powiada — tak. „W instytucjach też są ludzie. Instytucje są dla ludzi”. Trzeba odwołać się do zapasów ludzkiej dobroci, ujawniać znieczulicę. Któż się nie zgodzi z końcowym życzeniem autora?

„Chciałbym — jeśli nie dzisiaj, to za rok lub dwa — zastać Panią Reginę nie w jej samotni na balkonie, lecz w przytulnym klubie nowego Domu Rencisty. Nie, żeby tu mogła mieszkać, lecz żeby mogła przyjść, kiedy uczuje się samotna. Przyjść i porozmawiać ze starszyczkami takimi jak ona. Może także posyłać trochę na maszynę. Może rozpytać się, czy ktoś nie potrzebuje pomocy. Może z wdzięcznym dygiem przyjąć pomoc od samorządu klubowego. Nie jako jalmużnę. Jako pomoc społeczną i koleżeńską”.

Ideowym obliczem współczesnej literatury zajmuje się we „Współczesności” Józef Lenart w artykule „O partyjności w literaturze”. To, co decyduje o socjalistycznym zaangażowaniu literatury po stronie socjalizmu to nie temat, ale punkt widzenia pisarza i jego świadomość. W literaturze nie ma tematów zakazanych, powinna ona jednak być blisko tego, co zbliża ludzi do socjalizmu. „Toteż centralną postacią naszej współczesnej literatury — powiada Lenart — nie może być lump ani też człowiek wyobcowany społecznie”. Nie jest też

obojętne, czy literatura „dzieje się” w Polsce, czy „gdzieś w świecie”. W ukazaniu doświadczeń kraju budującego socjalizm leży szansa i odrębność naszej literatury. To nie wybór zaścianka, ale zrozumienie ogólnoludzkiej wartości naszych doświadczeń.

Wysychająca powoli dyskusja o krytyce skłoniła „Współczesność” do odwołania się do cudzych doświadczeń i przemyśleń. Szkic Georga Steinera nie jest — jak pisze autor noty — „rewelacją, rekapitułuje wiele sądów obiegowych, nie cofa się przed truizmem i prawdą banalną”; rzeczowe poglądy autora dają jedną z piaszczyzn dalszej dyskusji. Autor przypomina prawdę oczywistą, choć zapomnianą, że „przedmiotem literatury jest zasadniczo obraz człowieka, kształt i motywy ludzkiego postępowania”. W drugiej części szkicu porządkuje i wylicza podstawowe zadania krytyki:

1. Krytyka może wskazywać, co i w jaki sposób trzeba odczytać na nowo, wybór zaś powinien skłaniać się ku temu, co nawiązuje dialog ze współczesnością.

2. Krytyka może relacjonować i pośredniczyć w przekazywaniu informacji. Należy tu także obowiązek widzenia literatury narodowej w szerszej perspektywie i powiązaniu z innymi literaturami.

3. Trzecią i najważniejszą funkcją krytyki jest ocena literatury współczesnej. Musi pytać nie tylko o postępek formalny, wyrafinowanie stylu, ale także o to czy literatura zwiększa czy zmniejsza rezerwy wrażliwości moralnej, pyta o to, jaką miarę człowieka proponuje swojej epoce. Pyta — nie drwie czy cenzuruje.

„Zadaniem krytyki literackiej jest pomóc nam czytać tak, jak czytać powinny istoty ludzkie — poprzez przykłady precyzji, strachu i radości. W porównaniu do aktu kreacji jest to zadanie drugorzędne, ale nigdy nie miało takiej wagi jak dziś. Bez niego twórczość zapadłaby w mitę”.

T. K.

## BIAŁOSTOCKIE ŚRODOWISKO PLASTYCZNE

(Dokończenie ze str. 11)

chromatyczne w kolorze, o surowej chropowatej formie, wyrażającej dramat unicestwienia.

Postawę syntetycznego realizmu reprezentuje dorobek Doroty Labanowskiej, której prace mieliśmy możliwość oglądać na wystawie czterech województw. Mimo widocznych wpływów Potworowskiego zrozumiałych ze względu na edukację pod kierunkiem Profesora — malarstwo Labanowskiej jest dziełem indywidualnym, własnym i wykazuje znakomite opanowanie warsztatu.

Jerzy Labanowski kształtuje swoje obrazy przy pomocy wielkich prostokątnych płaszczyzn błękitów, zieleni lub czerwieni, o niewątpliwych walorach dekoracyjnych. Twórczość ta należy do wyeksplorowanego już terenu abstrakcji geometrycznej i wątpliwe, czy stała się na stworzenie nowej formuły plastycznej, nie mówiąc już o jakichkolwiek możliwościach przekazywania przez nią treści ideologicznych.

Inny typ malarstwa realizują plastycy średniego i starszego pokolenia, dla których najważniejszym składnikiem obrazu jest kolor.

Z wybitniejszych indywidualności do omawianej grupy należy Tadeusz Bołoz, obecny prezes Związku, i także Antoni Szymaniuk, którego umiejętności najlepiej uwidaczniają akwarele z cyklu albańskiego i bułgarskiego; senne załki południowych miasteczek, sceny rodzajowe czy motywy orientalnej architektury. Z nieco mniejszą swobodą porusza się Szymaniuk na terenie malarstwa olejnego, o czym mogliśmy się przekonać oglądając jego „Sieci” na wystawie czterech województw. Poza tym Szymaniuk jest autorem szeregu udanych wnętrz pawilonów usługowych; ze względu na funkcjonalność i interesującą formę plastyczną na czołowym miejscu można postawić projekt sklepu centrali rybnej w Białymstoku (wykonawstwo przy współpracy Lengiewicza i Gniatkowskiego), wnętrze sklepu „Jubiler” także w Białymstoku oraz salę konferencyjną i Klub Młodej Inteligencji w Pucku.

Prawie wszyscy plastycy białostocki projektują wnętrza, urządzają ekspozycje i zajmują się grafiką użytkową. Z godnych uwagi realizacji wymienię jeszcze wnętrze sklepu preselekcyjnego z wełną i salon pralniczy w Białymstoku, zaprojektowane przez Wacławę Serwan.

Prezentację białostockiego środowiska plastycznego chciałbym zakończyć sylwetką Jerzego Brzozy, grafika projektującego plakaty, obwoluty książek i czasopism, scenografi i twórcy interesujących ekspozycji; dorobek młodego plastyka określa współczesny rejestr środków formalnych: syntetyczne operowanie formą na rzecz lapidarności i jasności informacji podanej na obwolutie, planszy czy plakacie.

Brak miejsca nie pozwolił mi na szersze omówienie pozostałych artystów Białostocka i charakterystykę ich twórczości. Przepuszczam jednak, że jesienią wystawa okręgowa będzie okazją do analizy dorobku C. Chudzik, M. Wojniaka, I. Marcjan, R. Karata i innych.

Młode środowisko białostockie, będące w stadium szybkiego rozwoju, ukazało duże możliwości na I wystawie 4 wschodnich województw, dlatego z tym większą ciekawością oczekujemy prezentacji twórczości podczas drugiej wystawy dorobku artystów Polski wschodniej.

Ireneusz Jan Kamiński

walkę z okupantem hitlerowskim” Michała Dońskiego, byłego dowódcy oddziału partyzanckiego GL im. Wodzika i komendanta Okręgu GL „Podkarpacie”. Szkoła tylko, że obie książki ukazywały się na tym samym papierze i szereg załączonych do nich fotografii i fotokopii dokumentów jest bardzo mało czytelnym.

Unia

## KRONIKA KULTURALNA

### BIAŁYSTOK

NA BIAŁOSTOCKICH SCENACH oglądaliśmy ostatnio dwie premiery — „Don Carlosa” i „Złoty sznur” Sidneya Howarda. Pierwszą z nich, na dużej scenie, reżyserował Jerzy Zegalski a autorem scenografii był Jerzy Szeski. Drugą natomiast, „Złoty sznur”, mało znaną współczesną amerykańską sztukę obyczajową gościnnie zaprezentował nam Tadeusz Zuchniewski — reżyser olsztyńskiego teatru im. Jaracza. Scenografia — Ryszarda Kuzyszyna.

NA BIAŁOSTOCZYZNIE trwają obecnie powiatowe zjazdy TRZZ, celem których jest

podsumowanie dotychczasowej działalności Towarzystwa oraz wybory nowych władz i wytyczenie dalszej działalności.

### LUBLIN

W PULAWACH zorganizowano trzeci na Lubelszczyźnie Uniwersytet Robotniczy ZMS. Powołany on został jako wyraz patronatu KC ZMS nad Zakładami Azotowymi. Wykład inauguracyjny pt. „Chemia zmienia oblicze Ziemi Puławskiej” wygłosił mgr inż. M. Kołodziej.

WIECZOROWA SZKOŁA INŻYNIERSKA obchodziła jubileusz 10-lecia istnienia. Uroczystości jubileuszowe zbiegły się z inauguracją nowego roku akademickiego na uczelni. WOJEWÓDZKI DOM KULTURY organizuje cykl spotkań pt. „Wieczory współczesne”. Pierwsze spotkania z tego cyklu, poświęcone literaturze odbyły się w dniach 22-24 października. Na temat „Model człowieka i losu ludzkiego we współczesnej literaturze” mówili: Anna Jakubiszyn-Tatarkiewiczowa, Zbigniew Bieńkowski i Stanisław Wygodzki.

### KIELCE

TEGOROCZNY, KIELECKI PAZDZIERNIK, oprócz wzmoczonej propagandy PKO, pełen echa na lamach „Słowa Ludu”, różnorodnych wydarzeń kulturalnych: uroczyste otwarcie filialnej działalności Uniwersytetu Jagiellońskiego w Kielcach, i imprezy związane z obchodami XX-lecia Ludowego Wojska Polskiego, i 10-lecie Wojewódzkiego Archiwum, i rozpoczęcie na terenie województwa „Dni Kultury i Nauki Radzieckiej” wizytą poety ukraińskiego Witallija Korotyca.

TEATR KIELECKO-RADOMSKI, ustami dyrektora i kierownika artystycznego p. Z. Grywałda, przedstawił zaproszonym reprezentantom Kielce i Radomia, plan repertuarowy na sezon 1963-64. Sezon ten, wzbogacony uczczeniem rocznicy śmierci Szekspira i urodzin Zeromskiego, jest specjalnie ważny dla teatru noszącego imię właśnie Zeromskiego.

„Chemmy prowadził teatr dla widza” — stwierdził dyr. Grywałd. I dlatego w planie premier jednego w województwie teatru, znalazły się pozycje klasyczne rodzime, jak „Fantazy” J. Słowackiego i „Wesele” S. Wyspiańskiego, dramaturgi współczesnej: L. Kruczkowskiego „Odwetu”, J. Brodzkiewicza „Skandal w Hellbergu”, J. Jacyny „Noena wizyta”. Teatr wystawił sztuki L. de Vegli, M. Gogola, J. Steinbecka, E. Szwarcza i F. Dürrenmatta, i oczywiście „Hamleta” W. Szekspira i oczywiście S. Zeromskiego „Przeziębłą”.

Ambicją Teatru jest wznowienie działalności Małej Sceny, na której ukazywane będą sztuki młodych dramaturgów polskich i krajów demokratycznych.

### RZESZÓW

Z MYŚLĄ O POLSCE LUDOWEJ. Po nagrodzonej przez „Politykę” w dziedzinie prac poświęconych najnowszej historii Polski książce Leona Korgi „Ziemia Rzeszowska w walce o władzę robotniczo-chłopską — Wspomnienia z lat 1934-1939-1943”, wydanej przez Referat Historii Partii KW PZPR i Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Rzeszowie, ukazała się druga bardzo interesująca publikacja, wydana przez Referat Historii Partii rzeszowskiego KW. Zbiór zatytułowany „Z myślą o Polsce Ludowej” zawiera wspomnienia działaczy i partyzantów PPR, GL i AL, — Anieli Czech, Andrzeja Budy, Kazimierza Osetka, Mieczysława Kaczora, Pawła Karpa, Michała Dońskiego, Ludwika Szenborna, Tadeusza Milezanowskiego, Stanisława Karuta, Piotra Pacoza, Michała Filla, Stanisława Młynarskiego i Michała Korgi. Piszący przypominają sylwetki wielu wybitnych działaczy PPR w Rzeszowskiem, m. in. Augustyna Micała, Stanisława Ziaji, Piotra Chłędowskiego, Stanisława Szybistego i innych. Są wśród wspomnień i takie, które pokazują wydarzenia i fakty niemal zupełnie nieznane szerszemu społeczeństwu, jak np. „Wkład Lemków w



Fot. A. Hadala

„Dni Rzeszowa”: uliczny konkurs na rysunek dziecięcy. W głębi trójka zwyciężskich rysowników. (V. artykuł „W Rzeszowie „Dni” z charakterem” na str. 2).